

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Joanna Kulmowa

TRZY

Copyright by Joanna Kulmowa

Tower Press, Gdańsk 2001

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Autorka uprzedza lojalnie, iż próżno by tu szukać realnych osób i wypadków; opowieść ta ma tyle tylko wspólnego z historią, ile potrzeba dla zatrucia czternastoletniej dziewczynki toksynami nienawiści; rzecz tę należy zatem potraktować jako dowód nie wprost na szkodliwość przerażenia i wierzyć, że coś równie przykrego nie zdarzyło się w rzeczywistości – co nie oznacza, że już nigdy zdarzyć się nie może.

Joanna Kulmowa

I

Koniec:

tak się to kończy.

Karą za grzechy dla niej, dla każdej z nich, dla jednej z trzech, dla wszystkich trzech – tak właśnie.

– Idą po mnie.

Tylko to: idą po mnie.

I: piasek.

Zupełnie jak w tamtym śnie, co wydawał się nie snem, więc był proroczy – że osuwa się z piachem w piach, do leja po bombie: albo też tu brali na coś ten piach, wilgotny między spocynymi ze strachu palcami, sucho zgrzytający w zębach, płaty piachu przed oczami. Tak dają się grzebać powolne żuki, w górę, w górę i znowu na dół, choć błękitny pancierz połyskuje triumfalnie, na nic ta piękność. Piaskowy schron czy grób, to zawsze są groby, jak żuk się tam ucieka. Jak to mówiła mama? „Spotkamy się w piaskowej guberni” – to było o cmentarzu, taki dowcip z na wpół rosyjskiej jeszcze pensji dla panienek, mama nie przypuszczała, że tak szybko pójdzie do piachu, a jej najdrożsi... I nagle: ten daleki cmentarny park, gdzie mama już na zawsze, a potem zaraz ten, gdzie zaczęło się – dopiero wtedy? wcześniej chyba? – całe głupie nieszczęście ze starą Osuchowską. Aby nie tutaj, aby nie żywcem? Nie? Poczekaj dziecino, może zapędzą na glinianki albo najpierw kulka w łeb, śmieszne pacnięcie, żebym twarzą pokłoniła się ziemi, ugryzła piasek, nażarła się go do udławienia, do na wieki wieków amen. Niech to będzie sen, niech obudzę się zanim nadejdą – bo idą po mnie, bo śniło mi się już tak i to bardzo dokładnie tak. Ale kiedy stary sen powtarza się od początku nowego, to czy nie jest jawą? Czy nie musi iść dalej aż do całego wyśnienienia? – że jakieś fundamenty nigdy wcześniej tu nie widziane choć przewidziane snem, że ta nora pod niby pokładem, że tak samo piasek i papier na dnie, papierem przykrywa się umarłych. Po co było chować tutaj przekłete listy, zabawiać się wyzywaniem losu i tak wyzwanego od dawna; czy sama chciała ukarać się, nim oskarżą inni lub też bez oskarżenia i żadnej winy pójdzie na śmietnik; a może nic naprawdę serio, takie mi komedianctwo, zagranie w udawaną śmierć, a po co? A po to. Że stanie się jak amulet, obroni przed śmiercią prawdziwą biedne dziecko, bez grzechu skazane dziecko. „Nie jesteś już dzieckiem, kochanie”. Indianie, policjanci i złodzieje, kapiszony, pa, pach? Nie uchroniło, bo widać kto inny rządzi i osłania, może nie ten Twój czy Wasz, może Cudzy, może nikt, wcale?

– Idą po mnie!

Skulić się w głębi piaskowej wyrwy, zżółknąć, poszarzeć na ziemię i glinę, żeby poszli dalej, po inną, po wszelkie inne napiętnowane! Zawiodła gra w Justynę i doskonalenie się Kazimiery, i zginie Juta, i zginą wszystkie trzy, to nie sen, to już koniec, to już.

– Nie! Boże, nie!

Bum!

Otwierają się od niemego krzyku niebiańskie wrota – tak być w każdym razie powinno – i objawia się On, prywatny *Deus ex machina*, będzie musiała teraz myśleć i za Niego:

...nie? ty nie? więc inne tak, a ty nie? ty właśnie miałybyś wypaść z rachunku – dzięki jakiej omyłce? że masz mnie a ja ciebie, więc obstajesz przy tym, że to ja ciebie wyśnilem i nie będę chciał utracić, więc w śnie moim zrobię miejsce dla twojego – powiedzmy – snu o tamtych idących tutaj aż do skraju piasku, a później ciebie raz jeszcze obudzę, i pośnie twoją jawę tak długo, aż miliony zostaną odfajkowane dla zgody ze statystyką i dłużej jeszcze, i jeszcze.

Ba, toż i pośród milionów każdy może mieć na taką okazję Swojego, co go sobie śni i w porę wyreklamuje z mogiły zbiorowej na jeden krzyk ostateczny – bo kiedy trwoga, to wy wszyscy: ocal! ratuj!

Lecz – skoro powiedziane jest o człowieku „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” – w co winien obrócić się Ten, który z waszej trwogi?

Skąd czerpać odwagę i siłę, jeśli się narodził w grzechu przerażenia?

Weszła tego dnia po raz pierwszy do nieznanego pokoju – izby raczej w drewnianym baraku – rozpięta wyrudziały przez te trzy lata płaszczyk, tu cieplej niż na dworze, piecyk rozpalony do ciemnej czerwieni fajerek, jaskrawo tańczą na płycie zabłąkane iskierki kurzu. Wiosna nie przygrzewa jeszcze na dobre, więc w oka mgnieniu tego rozwarcia i zamknięcia drzwi powiało z nie osłoniętego ganku marcem, chłodem, wilgotnym zakisem słomy, liśćmi dębowymi butwiejącymi od niezliczonych jesieni na ściółce sosnowych igieł, tak pachniała cała Osada.

– Dzień dobry, przyszedłam na lekcję, tatuś mówił... ojciec...

O mało nie zachłysnęła się, poczerwieniała: źle, nie żaden tatuś. Ojciec. Nie mówić zbyt czule, zdrobnieniami, to może ją zdradzić, oni wszyscy mówią szorstko, byle jak.

Oni:

tamte wyrosnięte chłopaczyska („czeladnicy” – określili ich Dorian) usadowione już wokół ciężkiego stołu o nogach połyskliwie toczonych, mebla zadziwiającego w tym niby warsztacie – graciarni prędzej, pełnej kurzu, farb, żywicy albo terpentyny po prostu. Wszędzie mieszka się tak dziko, ale tutaj prymityw ma swoisty sens, nie tymczasowy: zamierzony, doskonały nieomal. Prócz tamtych jest ów Dorian, jest i dziewczyna, może piętnastoletnia, układna, gładko ulizana, z wieńcem maślanego warkocza, co tak pachnie zazwyczaj stęchłą orzechów. Najwyższy dryblas – kędzierzawy i ciężkołapy, nieskładny jak tamci – spogląda spode łba, z ponurą uwagą: czemu on tak patrzy na mnie, czyżby... Nagle reszta staje się nieważna, znikają dwaj inni, znika maślanożółta, nawet ów przedziwny Dorian; co może znaczyć to spojrzenie? bo jeśli zanadto przenikliwe, jeśli zbyt domyślne, to zaraz walka na śmierć i życie, urągliwość za urągliwość, chamstwo za chamstwo – czy nie lepiej cofnąć się pod byle pretekstem do drzwi, na wolność igieł i liści, póki czas jeszcze, dopóki nie zapyta, nie zapytają wszyscy...

Dorian – pospiesznie jakoś:

– Kazimiera! Wiem, przywitaj się. Kazimiera, zdaje się? Kazia?

– Juta... W domu wołają mnie Juta.

Strach ostateczny...

Musiała zaznawać go wcześniej, bo już kiedy spotkała się z Czarną Sąsiadką... Właściwie rudą i to do najostrzejszej czerwieni, ale trafniej nazywać ją czarną od żalobnego płaszcza, także nieźle wyrudziałego, przesyconego rzepakowym olejem, zaduchem kartoflanych placzków, lekką smugą nieustępliwej naftaliny – czemu ta naftalina, skoro Czarna zawsze w jednakiej żalobie, kogoś niedawno straciła, czy też wysprzedała się z własnych rzeczy i nosi darowaną czerń? Nie należy do wysiedleńców, przyjechała podobno na długo przed tym wszystkim, zresztą niewiele o niej wiadomo, widać nie musi uciekać się do fabrykowania prawdy o sobie, za to nadmiernie ciekawa innych: ilekroć Juta przechodzi pod oknem oficynki – prowadzi tamtędy droga po wodę – Czarna odsuwa nieznacznie zazdrostkę; drobna dłoń, powieki zaczerwienione jakby od wiecznego popłakiwania, rozpalone gorączką oczy.

Wtedy spotkały się z nienacką z Jutą tam w głębi ogrodu, przy słomianym chochole, zawężonym na żelaznym kadłubie pompy. Spękane od zeszłorocznych mrozów rury nie doprowadzają wody do trzech domków posesji, kto by to teraz naprawiał, więc te zgrabiące ręce w ciężkich od wilgoci rękawicach, więc pordezwiąła kubły, kwaśny smród zgrzytliwej studni.

– To jak ciebie wołają? Juta?

Głos ma monotony, głuchy, opornie dobywający się z krtani.

– Tak, Juta. To od Kazimierzy. Może być Ziuta, może być i Juta, nie?

Nie zamierzała być niegrzeczna, chce przecież, aby ją lubiano, ale i boi się posądzenia o nadmierną przymilność, nie umie zrezygnować z obronnej zaczepki. Prześliznęła wiadro po oblodzonym ścieku, ustąpi jej kolejka byle prędzej, do widzenia – już czai się przy chochole studni wiecznie usłużny lęk, już...

– Od Kazimierzy – mruczy tamta – Nie może być. Nie, nie może. Ona była...

Była? Kto?

Czarnej Sąsiadce drżą usta. Nie kończy zdania, wolno zbliża się do Juty, zbyt wolno, jak we śnie, kiedy ktoś ma niespiesznie uderzyć, mało: zabić. Rude włosy wysmykują się niechlujnie spod przetartej chusty, Juta patrzy na nie jak na węże Meduzy, nie ruszy się, nie ucieknie, aż naraz – ona, tak zawsze roztopna – przeraźliwie, na całe gardło:

– Wariatka! Wariatka!!! I sen o bezruchu pryska:

tamta odwraca się, niezdarnie, teraz szybko i szybciej i jeszcze szybciej ucieka; ze zgrzytem zatacza się po lodzie puste wiadro, muśnięte połą rozwianego w panice płaszcz. Juta łapie swoje niezbyt pełne kubelki, nie patrząc biegnie, wychlapuje po drodze sporo wody, omija prędko drzwi oficyny już zatrzęsnięte za Czarną – Boże, jak brzydko się wygłupiłam! Boże!

Dopiero w domu zaczyna pojmować całą swoją zgrozę, dygocze, leci twarzą w miłosierną poduszkę, bardziej w niej niż w przyzywanym Bogu szukając pociechy i rady: powiedzieć tatusiowi? nie mówić? a jeśli to wcale nie wariatka, tylko ktoś, kto wie? albo gorzej: kto znał Kazimierę?

Teraz już wie, teraz, tutaj. Za późno, stało się, idą po mnie...

O, gdyby wtedy przy studni umiała odgadnąć, czy Kazimiera była nie tylko w niej, nie tylko w listach do Justyny, czy istniała Kazimiera poprzednia, ruchliwa i szybko zdmuchnięta iskra – Kaja!

Gdyby wiedziała, może nie pragnęłaby takiego utożsamienia, że aż ją czeka ten sam piasek, tak samo z nią będzie teraz, tu.

I żaden On nie kwapi się z odsieczą.

Który? Ten Twój, wychylony do połowy z odemkniętych w przestrachu niebios, obliczający po twojemu szanse za i przeciw?

Prędzej! – pogania. – Wyspowiadajmy się z win, będzie lżej utrzymać się na powierzchni piachu! Zróbmy nasz mały przetarg, tylko na to stać twojego poplecznika, usilnie ograniczanego przez ciebie malutkim życzeniem stąd-dotąd, tylko-tyle.

Niewiele brakowało, ażebym przybrał niegdyś dla ciebie formę drewnianej lali, fetysza z wyłupiastymi oczami, poduszki do wbijania magicznych igieł albo gipsowego posążku kapiącego od hojnych złocen. Prawda, że wyszłoby to nam na zdrowie: byłbym dosłowny aż do czerwonego serca, aż do zapachu papierowych lilii o sztywnych płatkach, a i wzniosły, i mistyczny – wbrew dotykalności i dzięki niej właśnie, bo ona daje świadomość zaplecza, więc i umacnia w dobrym samopoczuciu i wierze w skuteczność, więc...

E, nic równie kojącego nie miało mi przypaść w udziale, próżne były rekolekcje z Goską, z Milką i Stenią, przykłonienie w bocznej kaplicy pod opuchłąoną świętą, od której promienie, na nic nabożeństwa majowe i czerwcowe pod szczególnie uroczystym baldachimem przykościelnych brzoź – ani stąd żdźbła pociechy, ani krzty prymitywnej cielesności, jakby ów brak zdecydowanego kształtu był jedyną rękojmią istnienia – nie tyle jednego w trzech, ile jednego dla trzech. Więc bez oblicza, abym dla każdej przybierał inne?

Bóg Kazimierzy miał twarz surową. On patronował długim szeregom świętych męczenników, łasy był na doskonałość, żądał wyrzeczeń i hartu, i samozaparcia, i zadośćuczynienia za grzechy – ale to właśnie pozwalało wierzyć w wymiennność usług, to miało wartość obronną.

Wspaniałe uczucie nieodpowiedzialności, kiedy doznała tej łaski po raz pierwszy:

wynurzyła się z mrocznej wnęki za konfesjonałem, słońce powitało ją tańczącymi w skos przez nawę plamami witraży – oczyszczoną, z ubezwłasnowolnionym sumieniem, bez zmayı i bez trwogi. Ktoś tam zdecydował za nią, mogła nareszcie przestać oskarżać się o to wszystko, co gnębiło ją (słusznie? niesłusznie?) jako ujma i wina. Nie zapytana o nic takiego, co miała programowo zataić – nie ukryła niczego; tylko szczerą spowiedź się liczy i obmywa, i uświęca, jakby na wielki festyn, kiedy woda błyszcząca w porcelanowej miednicy malowanej w róże i fiołki, a później szeleści naciągana ostrożnie przez głowę sukienka, cała w krochmalonych falbankach, i uwiera sztywna wstążka na czubku głowy, i: „Nie zabrudź się, nie baw się w piasku, nie, nie, nie”.

A szła tam przecież w dreszczach strachu przed zatajeniem.

– Gdyby zapytał, nie mów – powiedział ojciec. – Nie mów. Chorowałaś. Dlatego dopiero dziś przychodzisz.

Chłopiec o rozpalonej twarzy odsunął się wreszcie od konfesjonału, trzeba przykleknąć pod murem płaczu i poddać się cudzemu wyrokowi, więc tylko w myśli formułka: „Spowiadam się tobie, ojcze...” Ojcze, twoja córka... Kazimiera... Zaszlochała niemądrze, to ją zawstydziło i przywróciło mowę, ksiądz mówi namaszczonego szeptem, uspokaja, wie jakoś wszystko z góry, wyraźnie lekceważy nie dość ważne przewiny; jeszcze całowanie tej brudnej stuy, przemóc się, żeby nie cmoknąć w powietrzu... Przecież i uniesienie, i łzy ulgi: nie zapytał, nie żądał wyjaśnień, nie było śmiertelnego kłamstwa!

Nazajutrz pachniało duszno i słodko, opłatek lepił się do języka nowo narodzonej Kazimierzy, ledwie dał się przełknąć w całości. Znowu zwyczajne słońce uderzyło w oczy, pospolicie dzwonił tramwaj na warszawskim placu, weseliły się znajome tulipany i narcyzy, i żonkile, i co tam jeszcze w koszach kwiaciarek przed chłodnym kwadratem kościelnego cienia.

– Bardzo porządny ksiądz – mówi ojciec. – Przepytał cię pro forma. To nie urząd ani sklep, ty tego nie zrozumiesz nigdy, ale ja jestem inna, jestem Kazimiera z wszystkimi przywilejami czystości, z wypastowanymi bucikami, paznokciami bez żałoby po kocie; będę zapuszczała warkocze na poranne szarpanie, będę ubierać się skromnie na szyderstwo, ja, Kazimiera w nowej aureoli świętości.

Wtem – wilgotnieją ze strachu dłonie, gorąco rozlewa się po szyi, uszach, policzkach.

– Mój obrazek! Ksiądz miał nam rozdać obrazki od pierwszej komunii!

Nie, nie wolno ci już wracać, nigdy nic nie wiadomo, może ten proboszcz wcale nie taki porządny, im szybciej zniknie mu się z oczu, tym lepiej, wracamy do Osady, to nasz tramwaj, wsiadaj.

Ale ona robi w tył zwrot i oto jest w zakrystii, wśród sztywno rozłożonych serwetek z me-reżką i pozwijanych chorągwi, tu wisi ta lepka także od jej pocałunku stula, a ksiądz odstawia kielich, pachnie winem i kadzidłem, Kazimiera czuje to doskonale, kiedy tak stoi przed nim z pokornie zwieszoną głową i wymusza z siebie słowa wyjaśnienia.

– Dziecina zapomniała obrazka?

Znowu maślana łagodność i olbrzymia, ciepła dłoń, która spoczęła na głowie Kazimierzy; obrazek pełen jest rozmydlonego błękitu, wśród którego kołysz się Matka Boska w drape-riach i wstęgach, mówi się „Najświętsza Panienska”, mężczyzna w komży pochyla się nad dzieckiem, ich oczy się spotykają i – gorący, wstrętny lęk: ten człowiek myśli o czymś innym, więc po to należało wracać, niszczyć coś, co zaledwie kielkować zaczęło?

Nigdy nie odczuwałaś tego braku tak bardzo, jak teraz, tutaj:

trzeba ci wszakże materialnego poparcia, rzeczywistego ratunku. Chcesz przedłużenia siebie w świecie namacalnie żywym – co z tego, że zostałabyś pozycją wpisaną długimi rzędami cyfr w Jego i twoją rachunkową księgę.

A zatem Justyna!

Czemu nie podeprzesz się Bogiem Justyny, jej nie potrzeba magii ani sposobów, wszystko jest nią, Justyna oznaczała zawsze tożsamość, a więc wszechwładzę, a więc mogłaby uratować siebie sama.

Przepadło.

Oddalałaś się od niej zdrada po zdradzie, sprzeniewierzenie po sprzeniewierzeniu, pamiętasz.

To dziecko musiało zapukać do drzwi kuchennych właśnie o tej porze, kiedy była Gośka; skuliło się w progu umorusane i odrażające w bezwstydnym obcości, która je gubiła, która wydać mogła wszystkich, co na nie patrzyli, wdychali smród przegniłych łachmanów, dojmującej biedy, czegoś szczurzo-ziemniaczanego.

Gośka pisnęła, jakby zobaczyła mysz.

– Dokarmiasz takie? Przecie to... Nie dokończyła, roześmiała się urągliwie, dziecko stało spokojnie, wcale nie speszzone, z grymasem półśmiechu-półból, jaki miewają ludzie przygłusi, pokornie zabiegający o kontakt z otoczeniem. Juta odsunęła się pospiesznie – niech nie widzi mojej twarzy, nie zdradzi się nagłym błyskiem zrozumienia, od trzech lat wszyscy rozpoznajemy się między sobą, szukamy wzrokiem, wyluskujemy żarłocznie w tłumie porządnym ludzi w sklepach, tramwajach, na ulicy: skazujemy wzajemnie i zaraz odwracamy oczy.

Grzebała w garnkach w poszukiwaniu resztek obiadu, pełna litości i obrzydzenia dla tego, który nie powinien żyć, nie powinien tu przyłączyć, narażać jej, tatusia, cioci Żonki. Nigdy nie czułaby z takim wspólnoty, nigdy przedtem, więc dlaczego teraz każą jej... Chleba i jazda stąd, chleba i wynocha!

– Nie z garnka – syczy Gośka. Zwariowałaś? Nie domyjesz. Ty byś jadła po tym wszarzu?

Ogląda chłopca gorliwie niby muchę z oberwanymi skrzydełkami albo kulawego pajaka.

– Skąd się tu wzięłeś? Z Warszawy? To was jeszcze nie wykończyli?

Dziecko nie uraża się chyba, ono jest uodpornione, przyjmuje to niemal z ulgą, jak ludzki odruch zainteresowania, gotowe nagle odpowiedzieć, otwiera usta – i teraz to Gośka odwraca się, ażeby pomóc w upychaniu do starej ciotczynej siatki resztek ziemniaków, chleba, surowej marchwi. Juta brzydzi się tym współnictwem, nagle wstydzi się chłopca, uszy jej płoną, dygoczą ręce, już dosyć tego, dosyć.

– Dawaj!

Gośka wyrwała torbę, podaje dziecku z zachłannością, która nie pozwala jej dzielić się nawet z Jutą obdarowaniem, przyjęciem wdzięczności – zupełnie sama wobec zgrozy, wydająca chciwie na lęk i wstręt.

– Zjeżdżaj stąd! – chrypi naraz Juta. Może zamierzała krzykiem przerwać triumf Gośki, ale głos dziwnie zachwiał się jej na koguciej nutce i chłopak, zamiast uciec, zapatrzył się teraz na nią, już niebaczenie stojącą naprzeciwko drzwi: miał stare, wiedzące oczy – więc tak patrzyłaby ona sama, gdyby...

– No! – wrzasnęła histerycznie. Drzwi chwieją się jeszcze chwilę, zanim domknie je Gośka.

– Ty też jesteś! Mało chleba nie zgubiło. A przecież głodne to, ledwo łązi.

Gorsza od takiej Gośki! Gorsza od wszystkich, co mogliby ją wydać, co przepędzili Justynę.

II

...W jakiś poranek, jeszcze pulsujący ciepłem snu – czy to Justynę wzięto z tamtego domu, gdzie nie było wojny ani bogów po kątach? Czy też rozspaną Kazimierę przeniesiono wówczas do pociągu odjeżdżającego jak najdalej i pozbawiono części najważniejszej wtedy?

Ojciec mówił kiedyś, że tabliczkę mnożenia trzeba umieć aż do paplania w nocy przez sen, więc to będzie teraz dla niej tabliczka mnożenia: imię komu innemu własne, świeżo przy-swojone modlitwy, nowe nawyki pospolite. Ale znakiem otwierającym wszelkie działania pozostanie tamto zdrobienie „Juta”, bo i dla niej, i dla jej otoczenia zrosło się z nią tak jednoznacznie, że walka z nim byłaby dodatkowym ryzykiem.

Poza tym zmieniło się prawie wszystko, zniknął prawdziwy dom, jedyne na świecie miasto, ślady mamy, dziadków i wujostwa – i nie było tutaj nic z tego co dawniej, choćby dlatego, że pachniało lasem, świeżo i lichy malowanymi ścianami, szorowaną do siódmej skóry podłogą: czystą, jałową nędzą. Ciocia Zonka nie sprowadziła się jeszcze do nich, likwidowała roztropnie resztki tamtego życia w mieście; do gotowania i sprzątania przychodziła co rano babka Steni, właśnie przez nią Juta poznała Steńkę i Milkę, ale z początku nie miała znajomych, uczyła się strachu przed ludźmi: „lepiej nie rozmawiaj z nikim, Juta!”

Pozostawało jej polubienie samotności jak przewlekłej choroby, pławienie się w samouwielbieniu, nawyk rozmawiania ze sobą, rozkładania siebie na głosy i osoby, którym musiała nadać kształt chociażby dwuwymiarowy: po obiedzie miała na to sporo czasu, robiło się pusto, błękitniały cienkie ściany, wilgotniał tynk w ciemnościach – wtedy rysowała w spleśniałych książkach buchalteryjnych (ojciec woził je ze sobą, jakby myślał, że jeszcze kiedyś będą mu przydatne) drzewa, domy, tłumy ludzików, skaczące pomiędzy niebieskimi i czerwonymi marginesami strony MA i strony WINIEN. Tatusz jeździł kolejką do Warszawy, ale dzięki gadatliwym ludzikom te wyjazdy nie były straszne, środkowy pokój z ciepłym kątem przy piecu stawał się bezpiecznie własny, a i pledy ciemnoczerwone przybyły, przybył fotel ciotki niczym jej straż przednia, co oznaczało w sumie jakie takie trwanie mimo wszystko i wszystkimu wbrew.

Aż do tego dnia.

Wtedy ściemniło się wcześniej, szybciej przyszła myśl o godzinie policyjnej, po której powrót ojca nie będzie możliwy; Juta zrozumiała nagle, że minie pół do piątej, i piąta, i pół do szóstej, jeszcze dwadzieścia, jeszcze dziesięć, jeszcze pięć minut, serce podchodzi do gardła, za chwilę granica tego, co wytrzymuje wyobraźnia, zbliża się próg lęku – już ani ciemne plamy koców na łózkach, ani fotel... Wszystko nabiera nowego sensu: zostać samą, bezbronną, tutaj? Nie uchować się?

Na samo przeczucie Juta zaczyna się bronić, wie, że nie wolno jej poznać głębi strachu, spojrzenie w oczy bazyliuszka paraliżuje na zawsze, trzeba już przedtem narzucić uciekającemu czasowi swoją wolę, jedyną siłę, w jaką wierzy mała czarownica, bardzo dotąd pewna, że świat kręci się z jej rozkazu. Zaszepać, zażegnać mocnymi urokami! Ma być tak, żeby pomogło, żeby ten czar uporał się z innym czarem, jeśli tam jakaś moc jest na zewnątrz, jakaś nieznaną siłą, istniejąca obiektywnie, nagle objawiona przerażeniem.

I oto narodzenie w grzechu:

strach po raz pierwszy. Jam jest, który. Wewnątrz, na zewnątrz. Odtąd w niemocy twojej poczną działać za ciebie, zamiast. Transmisja do świata, przedłużenie ramienia dźwigni. Ciężar zależności od innych przekracza twoje siły? naści, weź sobie własną niewolę – byleby tatuś wrócił, byle wrócił, już!!!

Jest.

Dwie minuty po Bogu.

Zastał ją już nie samą, już zaprzędaną. Sprzymierzoną.

Śmiał się, pachniał lawendą, którą tak lubiła tropić na jego wygolonych zawsze policzkach, wodząc nosem aż po zatokę szpakowatych włosów na skroni.

„Pomyśl, co za wspaiały zbieg okoliczności: panna Karusia przeniosła się do Osady, pamiętasz panią z Krakowa?”

Więc amulet rodzi się ze strachu, który jest taki sam, ale tu Bóg, a tam Karusia? I może z winy tak miernej przeciwwagi przegrał ojciec, przegrał razem z ucieczką swoją? Lecz ta przegrana wcale nie oznacza zwycięstwa Juty, przecież i ona teraz wie, że Mały Bóg nie da jej ratunku, zanadto ulegał, zanadto był z niej, z jej bojaźni: od razu niezbędna wydawała jej się magia, hasła wywoławcze, modlitewki z refrenem, z początku improwizowane, później zaś powtarzane bez najmniejszych zmian, zabobonnie konserwowane w pierwotnym kształcie. I była jedna piosenka-panaceum, którą w razie niebezpieczeństwa należało odprawić trojako, najpierw mruczając, potem gwizdząc prawie bezgłośnie (wymagało to ciągłego oblizywania warg), w końcu trzeba ją było odśpiewać ze słowami:

„Jesteś mój Mały Bóg,
bezpieczny, odwieczny...”

A tutaj już nic, tutaj piach osypuje się z sekundy na minutę, zaraz obnaży tę kryjówkę, czy schowasz się za drzewa z czerwonych i niebieskich marginesów, skoro to są tylko cienkie widelki wrzosu, co widziane z tak bliska zmieniają proporcje, są rosochatymi wierzbami, tam wyżej sterczą ich bezlistne gałązki. Suche, zeszlóroczne łebki kwiatów rozchodnika i wrzosu postukują drobniutko o płachtę papieru, urosną w spiczasty kopczyk – nad ciałem Kazimierzy ze snu? nad rozdartą paczką, z której lada chwila posypią się zdradzieckie listy?

Żółte wymięte donosy:

„Kochana Justyno...”

„...Nigdy tak do Ciebie nie mówiłam. Zdawało mi się, że jesteśmy jedną i tą samą dziewczynką. I może byłyśmy jedną i tą samą jedenastoletnią, ale już nie jesteśmy. Ja jestem sobie dalej. To nie potrafi zniknąć tak po prostu. Ale Ty?”

Wtedy rozmyślałam, co by to było, gdybyś prawdziwie umarła. Leżałabyś całkiem nieruchomo – żółta jak świeca albo plastelina, ta cielistą, z której lepiłam ludzików. Miałabyś warokcze. Ja nigdy nie miałam, bo włosy mi słabo rosły i jeszcze kręciły się. A Ty miałabyś warokcze, bo po śmierci podobno rosną, paznokcie też. I mogłabyś mi opowiedzieć, jak to jest, kiedy się prawie nie jest. Bo jeśli całkiem, to się tego w żaden sposób nie wie. W każdym razie to byłaby Twoja śmierć. Zawsze umierali tylko inni: Wujek, Mama. Mnie ich nie pokazywano ze strachu, że będę płakała i będę miała złe sny. W książkach też tego nie było, takich o śmierci sama nie chciałam czytać. Ale przecież w końcu i tak ma się złe sny, więc chyba lepiej byłoby przyzwyczajać się od dzieciństwa? A nie tak nagle – strach.

Teraz śnię o wszystkim, bo wiem wszystko. Nawet o takich rzeczach, o których wstyd myśleć, bo potem nie lubię siebie. I o waleniu kolbami w drzwi. O tym, że mnie rozpoznali jacyś z Krakowa. Że śmieją się, prowadzą, WIEDZĄ – a ja wstydzę się jeszcze bardziej, i zaraz mnie wykończą. Tylko umrzeć we śnie w żaden sposób nie mogę. Widać na taki sen czeka się do samej śmierci? Chociaż na jawie napatrzyłam się umieraniu.

Raz – uciekało dziecko i żandarm puknął do niego z karabinu. Dosłownie puknął cichutko. I to wydawało się niemożliwe, że dziecko po takim strzale zmieniło się w szmatkę, w miękki gałganek, z którego wyciekało dużo czerwonej farby. Drugim razem leżała obok nasypu zastrzelona starsza kobieta. Leżała umarła, ale wyglądało, jakby ruszała się pod gazetami. Wiatr je podwiewał, wystawały spod papieru nogi jak z gliny. Bose takie i wielkie, jak gdyby je rozdepto. Nie dali jej zaraz pogrzebać, więc dzieciaki tam szły i oglądały. Ja nie poszłabym za żadne skarby. Zobaczyłam ją przypadkiem, bo nasza kolejka (wracałam od Steńki) zatrzymała się pod semaforem akurat w tym miejscu. Nie chciało mi się patrzeć i chciało mi się patrzeć, musiałam. Cały czas myślałam, że może Kazimiera tak samo? Że przecież to ja...

Więc jak zachorowałam na odrę, to ciągle krzyczałam, że rosną mi stopy i dłonie. Zdawało mi się, że syczy ta podwiewana gazeta. Później ktoś nakłuwał moją głowę kijem czy igłą, od tego puchłam na cały pokój. Bałam się okropnie. Wciąż boję się gorączki. Jak jestem zdrowa, to wiem: ze mną nie może być tak. Nie będzie! Nie po to wyrzekłam się Ciebie, żeby jak ci znajomi łodzianie...

To jeszcze jedna rzecz, o której nie wolno mi pisać ani mówić. Dlatego Tobie powiem. On nazywał się Artur B. Nazwisko nie zmienione, ale papiery lewe. Ktoś zwrócił uwagę na jego wygląd, nie próbował nawet szantażu, tylko rozgadał. No i jednego dnia przyszli, nakryli. Rozstrzelali Artura, jego matkę, obie ciotki, ja ich zresztą nie znosiłam. Nazywałam je „ciotki idiotki”, to były głupie snobki. Spokrewnione z tym i z tamtym, baronem takim, profesorem owakim, a w gruncie rzeczy mieszczki. T. również ich nie lubił, wiem. Mówiły przez nos, a przy tym wyciągały szyje jak gęsi. W takim stylu: „raczej, niewątpliwie, zbytecznie”, z okrągłym „ą” i „ę”, z wtrącaną ni przypiął, ni przyłatał francuszczyzną i opowiadaniem o zagranicznych kurortach. Dlatego jakoś nie chce mi się to pomieścić w głowie: właśnie one... I dlatego, że Artur był całkiem zwyczajny i nudny, żaden ulubieniec bogów, co umiera młodo. I dlatego, że tam naokoło jest fajny lasek, widać go z naszych okien. Sosny jak żyrafy i pękate jałowce. Ślizgałyśmy się tam z Milką całą zeszłą zimą po rozlewiskach. Dzisiaj nie lubię tego lasku i skośnej ścieżki, bo szło się tamtędy do Artura. Zabili ich gdzie indziej, na gliniankach za torem kolejki – ale ja ciągle czuję, jakby to wszystko stało się tam naprzeciwko nas. Na końcu tej ukośnej dróżki przez jałowce. Pewnie tak, jak z tamtym zastrzelonym dzieciakiem, bez żadnej okropności, po prostu.

Ty się chyba dziwisz, nie znałaś czegoś takiego. Wiesz tyle, że wszystko poprzewracało się do góry nogami od tej nocy, kiedy pierwszy raz poszłaś spać w ubraniu. Wyły syreny, pobiegłaś na dół do schronu pośrodku podwórza i bawiłaś się w okręt wojenny.

To była zabawa, oni jej nie rozumieli. Oni już wtedy bali się prawie tak jak dziś. Oni by nie zrozumieli, że te listy będą naszą zabawą. Inaczej nie mogłabym wytrzymać ze strachu – tak jak dorośli, kiedy ukrywanie się jest zupełną prawdą i strach jest prawdziwy. Piszę te niebezpieczne i tajne szpiegowskie raporty na cienkim papierze. W razie czego zjem. Wczoraj ćwiczyłam zucie bibułki do papierosów i T. o mało mnie nie złapał. On nie może wiedzieć, że to wprawki. Wystraszyłby się okropnie, gdyby tak znalazł te listy. Ma czasem takie oczy, że trudno jego strach wytrzymać.

T. od pewnego czasu jest niemożliwy. Dlatego Ty jesteś kimś, komu powiem wszystko. Nawet przyjaźń z Milką jest zatruta, skoro od początku muszę przed nią udawać. Głupio mi wobec Milki, wobec jej M., wobec tej Steńki z Ryśkiem, bo ja ich oszukuję. Nie zadawałoby się ze mną, gdyby cokolwiek wiedzieli – ludzie boją się albo brzydzą... Wolą psy, im jest to obojętne. Ty to co innego, Tobie ufam jak sobie samej. Chociaż to z mojej strony ryzyko. Ale narażam się ostrożnie, to przecież tylko zabawa, ŚMIERTELNIE poważna. Z Tobą można się bawić, wolno Ci pozostać dzieckiem. Mnie właściwie już nie."

Przed tamtą Gwiazdką było radośnie, jak przed innymi: pędziło się co tchu przez mroźną uliczkę, żeby wpaść po trzech zbyt pochyłych stromiznach do sklepu Rydzewicza, gdzie pełno już oddechów i zapachu mokrych palt, parujących botów. Dzwonek u drzwi to zarazem sanie wśród zamieci i nadejście Mikołaja z workiem pełnym różności, takie Mikołajki stały jeden drugiemu na głowie w porozwieszanych w górze witryny arkuszach; czy to od nich zalatywało świerkiem i jabłkami, czerwonymi jak policzki ścierpnięte od przymrozku? Były też rumiane buzie aniołków, połączonych w jeden raj skrzydełkami i loczkami, dobrze znanych, upragnionych, tańczących w girlandach od półek do sufitu.

– Oj, żeby arkusz! – westchnęła Juta.

Wystarczyłoby na środek wszystkich gwiazdek i na opłatkowe koszyczki – już nie do

spinania wstażki z bibułą w zeszyście, prywatne komplety skończyły się dla Juty w zeszłym roku szkolnym, razem z pieniędzmi za dwie obrączki i futro ojca. Rada z próżnowania, tęskniła jednak po trosze do świeżości marmurkowych okładek, do atramentu zasychającego w rządках liter pomiędzy marginesami nowego zeszytu, a najbardziej może do zielonego aniołka o ciemnych lokach: utożsamiała się z nim przez lata całe, nazywała Justynką, przeciwstawiając dwu jasnym i rudemu.

– Dobrze, pięć zielonych – zgodziła się Milka. – Więcej nie da rady.

To ona finansowała zakupy, musiało wystarczyć jeszcze na słodycze dla nich dwóch i Steńki, matka odpaliła coś niecoś z utargu za słoninę.

– Idź ty z zielonymi! – przeciągnęła Steńka. – Takie Mośki.

Prawda, to był znowu on!

Pomnożony przez pięć, leżał teraz na kupce błyszczących papierów, wlepił niewinne oczy w Jutę, jakby ciągle jeszcze powtarzał:

„a ja po... a ja wiem...”

– Co ci jest, Juta? Chodźże!

A tu mokry śnieg, deszcz prawie, aż oczy zalepia – i dzwonek już za ich plecami, przed sklepem trociny wdeptane w błoto, człapią zziębnięci kolejarze, zmierzcha się wokół nich i przez szpary w czarnych oknach zaczynają migać punkciki światła, drobne jak ukłucia szpilki. Osada pachnie już choinką, świeczkami, nawet gryzący karbid nie potrafi stłumić poju-trzejszej odświętności. Człapanie zamienia się w pospieszny chlupot.

– Ludzie, co się stało?

– Łapią.

Wbiegły do Micewskich, tam jest przejście wąską biblioteczną kłitką na podwórze, można by dalej iść ogródkami aż do Juty.

– Panie Micewski, pan przepuści. Obława.

– Jezus, Maria!

Przekreślił klucz w drzwiach od Rynku, zgarnął dziewczęta w stadko, zatrzymał wzrok na Jucie, uśmiechnął się, zielone aniołki zatrzepotały w kieszeni, mogłaby przysiąc, że krzyczą pięciokrotnie: „ja po! ja wiem!”

– Aleś ty podobna... – mówi Micewski.

Podobna!

„Jesteś podobna na Włoszkę”. „Wcale nie wyglądasz na Polkę”. „Do Cyganki podobna, no nie?” Podobna, niepodobna... Juta nie śmie teraz popatrzeć na Milkę i Stenię, one nigdy tego nie zauważyły, nie porównały zielonego aniołka z nią, tylko z...

Czuje dłoń Micewskiego na ramieniu:

– Obróć się do światła! A tak, zaraz poznać, żeś Zawadowska. Cały ojciec. Przecież u nas książki bierze, nie wiedziałaś?

Zawadowska, podobna do Zawadowskiego, tego, co to książki pożyczka, daje lekcje języków; Kazimiera Zawadowska, tylko. Taka ogromna ulga.

Biegną znowu przez ciemność, po omacku szukają dziur w szczerbatych parkanach i po-giętych siatkach, nie widzą twarzy Juty, twarzy zielonego aniołka, są wesołe, uszły raz jesz-cze łapance, a bo co to dla nas! Z Rynku pukanie strażaków, szczekanie żandarmów już dale-kie, a bliżej pachną sosny sprzed domku Juty, jest strasznie, okrutnie dobrze – w sąsiedztwie lasu. Naprzeciw tej skośnej ścieżyny.

Tak, przemilczała tę winę, skłamała nawet w owym najszczerzym liście – ta, która brzydzi się kłamstwem i przemilczaniem.

Od dawna omijała przecież tamtą skośną ścieżkę: drżała na myśl, że matka Arturka może znać ich zabawę albo też Artur wypaplał którejś z ciotek idiotek, w głupim bezwstydzie wyznał i bezwstyd Juty.

Dla kogo innego byłaby to pewnie dziecinada, zostali kiedyś po prostu sami u jego nobliwej babci w Warszawie, w nie opalonym pod tę pierwszą jesień pokoju, którego mroczne zakamarki skłoniły ich najpierw do zabawy w jaskiniowców w ciepłej grocie za kanapą, a potem w tych najbardziej dzikich, którzy chodzą całkiem na golasa, pomimo zimna, tak wymyślił Artur. Juta chciała tego może jeszcze bardziej niż on, była przecież starsza, ale udawała sama przed sobą przymus, nie przyjrzała się, zaraz uciekła, pełna gorącego poczucia winy. On ją WIDZIAŁ, choćby przez najkrótszy moment; zupełnie załamała ją myśl, że należałoby o tym powiedzieć tatusiowi, to była pierwsza rzecz nie do wyznania, Juta nie bawiła się tak z nikim ani przedtem, ani potem; nie знаła wprawdzie pojęcia grzechu, lecz strach przed śmiesznością i wstydem był zbyt silny, zbyt silna obawa zarówno przed zatajeniem, jak i przed ujawnieniem tego, co uważała za obrzydliwe.

Więc chciała zapomnieć, więc powzięła niechęć do zimnych warszawskich mieszkań o wysokich sufitach i sakramentalnie skośnym oknie w stołowym pokoju, więc przeszkadzało jej istnienie wszelkich świadków: kanapy, inkrustowanych stolików, Arturka... Nie wiedziała, czy ten chłopczyk nawykł do takich zabaw, czy są dla niego czymś łatwym do zapomnienia? Może proponował to każdej, a później beztrąsko mylił w pamięci jedną dziewczynkę z inną? Był zresztą młodszy od Juty, mogła liczyć na jego roztargnienie. Ale zobaczyła go nagle w najbliższym sąsiedztwie – i przeżyła wstrząs, jakby upominał się o nią koszmar owej zimnej, odpychającej Warszawy; starała się nie myśleć o tym, nic z tego, strach tkwił za głęboko; zaczęła śledzić Arturka, ciotki idiotki, wytworną mamę; to przed nimi uciekała, to znów asystowała uparcie przy nic nie znaczących pogawędkach z ojcem i ciotką Zonką. Mówiło się tam ciągle i beznadziejnie o polityce, o ukrywaniu się i szantażystach, o wyplacaniu się gospodarzom, rozstrzygało życie i śmierć w absurdalnych planach na pojutrze – a jutro powinni byli zginąć wszyscy oni, tego wymagała statystyka... Juta drżała jednak dopiero wtedy, kiedy pojawiały się tematy rzeczywiście dla niej groźne, najbardziej ryzykownym tematem był sam Artur, Casanova o twarzy aniołka, maminsynek, ukochanie, oczko w głowie.

Postanowiła sprawdzić, czy on pamięta. Miało to wreszcie uwolnić ją od wyczekiwania, stało się ostateczną porażką – malca olśniło odkrycie, że ma przed sobą ofiarę. Aniołek rozpoczął torturę bezinteresownie, dla samej rozkoszy posiadania niewolnicy, łąził za Jutą, wdrapywał się na płot, żeby zniecka zająrzeć prosto w okna, wykrzywił się potępięczo: „a ja po! a ja wiem!” Odpędzała go, nienawidziła, modliła się gorączkowo – niech wpadnie w oko szantażystom! Niech mu ciotki-matki rozkażą dla bezpieczeństwa siedzieć w piwnicy! niech zaniemówi na zawsze! niech go...

Zawieźli na glinianiki, rozwalili.

Teraz, tutaj, w gorączce ekspiacji:

„...To nie ja przecież, to zapewne On, więc jeśli ten Mój, to widać chciał mnie w ten sposób ratować, wiedział, że się boję, obmyślił to po swojemu...” Patrzcie Go, jaki nadgorliwy! Więc źle się domyślał? Spełniał więcej niż marzenia? Może zatem – dygocząc z nadmiaru dobrej woli – wychyla się z chmurki po nowe zakłęcie: prędzej, złóż usta do śpiewu, zanuć jak najciszej naszą trójmodlitewkę, żeby nie nadeszli, żeby w ostatniej chwili...

Widzisz!

Nic nie pomoże, zawsze brałaś na siebie grzechy świata, a teraz na dobitkę straciłaś swoją, wysaną z palca Opatrzności, wiarę – pewnie już wczoraj, kiedy w mroku przy furtce zamajaczyła Czarna Sąsiadka, kiedy zobaczyłaś, że stało się i że zbyt późno zanosić modły za tatusia, ażeby odwrócić to, co popełniłaś z miłości ty, co popełniłem ze strachu ja albo odwrotnie, albo wszystko jedno.

Co popełnialiśmy dzień po dniu, prowadząc rachunki firmy Bóg – człowiek.

Buchalter otwiera przed tobą znajomą księgę o czerwonych i niebieskich marginesach, sprawdzaj, szukaj błędu, może zdążysz, zanim...

WINIEN? MA?

Wtedy, na samym początku, dozwolone były jeszcze powroty Justyny, gra między nią a ojcem toczyła się nieodmiennie, nawet w tym nędznym i nie swoim pomieszczeniu, w obcym jeszcze krajobrazie, wśród ludzi wystraszonych albo wrogich – nawet po ukazaniu się na horyzoncie panny Karusi.

Najważniejsze było wieczorne powiedzenie sobie dobranoc, poranne uchylenie drzwi do pokoju taty, rytuał poufny i czuły:

- Dzień dobry, budzę pana, tato.
- W kolorze?
- Czerwonym dajmy na to.

Udawał, że okropnie zaspany, drapał się w głowę, w szorstki z nocy podbródek, ażeby nagle rzucić coś nieoczekiwanego:

- Krowa.

Więc śmiech: czerwona krowa! ty zwariowany tatusiu, kiedy wreszcie nam wydoroslejesz! Ojciec upierał się przy swoim, miał na to argumenty.

- Czerwona krowa w kropki bordo, co gryzła trawę, kręcąc mordą!

Aż do tego dnia, kiedy obudziła się zbyt wcześnie i zastała drzwi jego pokoju zamknięte na klucz.

Zaprzęgnęła zaraz przyłapać go na gorącym uczynku porannego snu, tego najśmieszniejszego, kiedy słońce łązi leniuchowi po nosie, a on opędza się, jak przed natarczywą muchą. Nie będzie go budziła, chyba że sam się poruszy, zaskoczony szmerem za szybą czy nagłym ruchem cieni. Narzuciła płaszcz na piżamę, wyskoczyła przez kuchnię na dwór, człapiąc nie zasznurowanymi półbutami po już rozmokłej glinie ogródka; zapachniało ostrą świeżością wilgotnych z nocy gałęzi.

Okna tamtego pokoju spojrzały na nią bielmem nie otwartych jeszcze okiennic, aż jaskrawych w tym ukośnym słońcu. Szybko zmieniła zamiar, ugniotła kulkę z topniejącego śniegu, pacnęła w okiennicę raz, drugi, trzeci. Posłyszała jakby szmer z wnętrza do mu. Zaskrobała w lakierowane deski, zamiauczała: „Jestem kotkiem, który zawisł na okiennicy, ulituj się, wpuść do mieszkania!”

Nic.

Wdrapała się na wypustkę podmurowania, cał po cału zaczęła odchyłać żelazną sztabę, odciągnęła nieco jedno skrzydło, pokój za szybą wydał się jej czarną czeluścią, musiała przycisnąć twarz do okna: teraz ojciec poderwie się, zobaczy rozplaszczony na szybie koniec nosa: „dajmy na to w kolorze...”

I wtedy zauważyła – może wydawało jej się tylko? najchętniej przysięgłaby samej sobie, że to złudzenie – zauważyła kolor, który już tam był: czerwoną plamę, przewieszoną starannie przez poręcz krzesła przy łóżku ojca, to nie jego rzeczy, to świństwo, tak, świństwo, to...

- Czerwona krowa! Krowa, krowa, krowa!

Tak nie miauczałby kot, i kot nie pokaleczyłby sobie nogi spadając z podmurówki, i nie wrzeszczałby tak obrzydliwie biegnąc do kuchni:

- Czerwona krowa, krowa!

Więc już na dobre została tam w schronie przeciwlotniczym, gdzie zalatuje octem od świeżo ściętych pni; to są maszty okrętu, którym dopłynię się najdalej, omijając o tysiące mil świat Juty i świat Kazimiery.

Gdzieś ponad wrytymi w glinie i piachu kajutami przebiegają z tupotem ludzie, i znów ludzie, znów ludzie, i jadą transporty, i pikują samoloty – bum! otwierają niebiosy. Ten okop jest osobny, zatrzaśnięty już na zawsze, kareta z dyni, okręt w szczelnej butelce, skorupka zakłętego orzecha na życzliwych falach, co wyrzucą Justynę w pobliżu Osady, pośrodku pola

tej więdźmy Osuchowskiej. I tu również jest zapach żywicy, światło przez gałęzie – i zabawa w siebie, poza czasem zbyt okrutnym dla dzieci o cudzych imionach.

Justyna siedzi na drzewie, rozhuścana razem z konarem, węża otarte o korę sosnową palce, zlizuje krew pachnącą zielenią, jest kamykiem tej liściastej i szpilkowej mozaiki, kawałkiem lasu, nie boi się niczego, nie może przecież zginąć, bo czy można zabić cząstkę zieleni? Coś, co tak ostro wchłania dźwięki, smaki, kolory, że samo nie jest niczym ponad nie?

– Juta, do kogo ten list? Jaka znowu Justyna, chciałabyś nas wkopać, nie waź się w to bawić, Justyna umarła, zginęła, pogrzebana, nie istniała nigdy.

– Tatusiu! Justyna?

– Nie znam. Nie znałem, i ty też nie.

– Nie mów tak. Znałeś. Powiedz, ja proszę: znałeś.

– Czego płaczesz? Nie wmawiaj sobie zaraz Bóg wie czego, przekłeta egzaltacja podlotków, robisz się nieznośna. Głupia, chodzi mi o ciebie. Przez te zabawy pójdziemy wszyscy: ty, ciotka, ja.

– I panna Karusia, tak? Stoją naprzeciw siebie, jak dwoje wrogów na śmierć i życie, i tak może być, tak będzie naprawdę, Juta wie, że ma ojca w ręku, warunki wielkich łowów sprzyjają, zdołałaby zabić go byle nieostrożnym wybrykiem. Czy ze strachu o tatusia pisze te niemądre donosy na siebie, na niego, którego prawie całkiem utraciła, którego odzyskać by mogła chyba tylko poprzez odwet?

Ale – choć Karusia nie przyszła jeszcze ze swojego noclegu, chociaż ciotka siedzi w kościele dla ludzkich oczu i jezorów – ani ojciec, ani Juta nie odważą się powiedzieć sobie wszystkiego, co mieliby do powiedzenia; bladzi z żalu i złości stoją po dwóch stronach wypatroszonego fotela cioci Zonki, patrzą na siebie w milczeniu. Wreszcie tatuś rzuca list (któryś tam z rzędu głupi donos do Justyny) na wciąż nie zasłane łóżko Juty – powstrzymał się przed podeptaniem listu, nie porywa się dawnym zwyczajem do bicia po łapach, do szturchańców, nie wywleka Juty przemocą za drzwi, nie przekręca klucza. Więc już wiadomo, nie będzie kary, krzyków, łez, przeprosin, tych wspaniałych ułatwień opartych na ustalonym z góry programie. Nie dojdą do zwykłego porozumienia, nigdy, nigdy – myśli tępo Juta, żeby zaognić własne rozzalenie.

– Będę pisała do Justyny, do Jus-ty-ny! Ty... zdrajco! – bełkocze w poduszkę, to bezpieczne, ojciec nie posłyszysz, zamknął się w drugim pokoju. Juta efektownie wzmacnia szlochanie, kombinuje, jak zagrać, żeby zniecierpliwic go, skłonic do bicia, do skruchy, do przyjęcia mokrych od łez pocałunków – jak dawniej, jak zawsze.

Nic z tego:

nadeszła pora innego spektaklu, kto inny zagra w tej operze główną rolę, oto zamaszycie, jak co dzień teraz, wkracza primadonna, szeleszcząc spódnicą w kolorze maku, natrętnie uperfumowana. Wesolutkie dzień dobry; puka do pokoju tatusia, niby to nie dostrzegła niczego, zza ściany dobiega ciąg dalszy ostentacyjnej wesołości, tatusine słoneczko! Żadnych pofnych szeptów – tym razem nie powiedział Karusi o awanturze, pozostały zatem jakieś sprawy pomiędzy nim a Jutą albo przestraszył się tego, co mówiła dziś o Karusi. Więc dałoby się utrzymać go w szachu groźbą skandalu...

Spekulacje, obliczenia, porachunki z ojcem, coraz tego więcej, Juta wchodzi w dojrzałość, umacnia się w wierze, iż jej Mały Bóg pośredniczy w tym osobliwym handlu, w którym stawką jest co? jest kto? Czy potrafiłaby określić tę stawkę? A może miała na swoją obronę choć jeden argument, który przeważałoby na jej korzyść, na niekorzyść czegoś, co dzieje się nie z jej wyboru...

III

Między jednym a drugim źdźbłem piasku, źdźbłem chwili: więc w tej ostatniej sekundzie całe życie jak film? Strzępki chyba, wrywki z szybkością zawrotną, ale niecałe, nie wszystko raz jeszcze. To ona nieświadomie rządzi chaosem albo jej Mały Bóg nadaje beżładowi jakieś znaczenie, wytycza kolejność wspomnień, uzasadnia, tasuje – fałszuje dla morału? Trzeba domyślić się sensu i wtedy... Boże, ale czy jest jaki sens poza moim biczowaniem się, biczowaniem... Jedno pewne: ja chcę wydobyć się z matni, oczyścić, odciążyć, przywrócić sobie wiarę, że zasługuję, tak, zasługuję na traktowanie wyjątkowe, na cudowny ratunek, na Ciebie!

Żebyś obniżył lot na chmurze, podał zaklęcie czy jedyny klucz.

– Tamten sen... – żebyś powiedział. – Tamten sen był po prostu i tylko znakiem, daj się ostrzec przed sobą, skoro nie dałaś ostrzec się już wtedy. A może zdołam...

Teraz myśli:

może przysniło się dlatego, że pozwoliła dojść do głosu Kazimierze? Niewątpliwej Kazimierze, dbałej o piękny hart ducha, tropiącej z niechęcią w lustrze ślady podobieństwa do ojca, tego pięknego niegdyś ojca, którego uroda staje się podejrzana, upokarzająca, nienawistna w porównaniu z jasną urodą Karusi...

Wracała od Steńki, smażyli tam w piątkę racuchy pod nieobecność babki, wychlapali z pół butelki oleju, najedli się po dziurki w nosie, rzadka to okazja. Pokój żółty od dymu smażeniny; Kazimiera poczuła nagle wstręt do przesiąkniętych rzepakowym smrodem ubrań chłopaków, szarpnęła niewielki lufcik, chłodne powietrze zawirowało gwałtownie, skłębiło się pod sufitem, a ponad królestwem haftowanych w maksymy ściereczek, spiętrzonych poduszek i pierzyn. Teraz już wszystkim zachciało się spaceru po ledwie przedwiosennych polach, domek był na skraju Osady, stąd łyse ugory biegły wzdłuż toru kolejki. Przypomniała sobie naraż, że musi wracać, po obiedzie ma lekcję u Doriana – może zresztą nie byłaby tak pilna, gdyby nie Marcin, który uparł się prowadzić jednocześnie pod rękę ją i Milkę. Wyrwała się, było to obrzydzenie i godność zarazem; wskoczyła do ruszającej z przystanku kolejki, została na platformie, żeby nałykać się do woli świeżego wiatru. Jakiś pijak zatoczył się w jej stronę, odepchła go z całej siły. „Ej, czarnulka!”

Wagon zarzucił na zakręcie, to był już Rynek: zobaczyła ojca, nie spostrzegł jej, kupował papierosy w kiosku na przejeździe. Przecisnęła się szybko do wyjścia, gotowa biec na spotkanie, prosto w opiekuńcze ramiona, nie bacząc na podpitych, którzy zagroździ jej drogę przez peron. I wtem jedna z ich towarzyszek, piskliwie:

– Widzisz go, z takim nosem łązi kundel!

To nie mogło być o nikim innym, patrzyli na kiosk, wybuchnęli teraz obrzydliwym śmiechem, ojciec nie zauważył niczego, spokojnie nachylił się do znajomej kioskarki, płacił. Czy on nie widzi, że to przygarbienie go zdradza, grymas uśmiechu wydłuża nos – grymas typowy, prawie wyrok śmierci. Zaraz ktoś krzyknie na cały głos, tak zdarzyło się w Warszawie z wujkiem, a tam obok poczekalni stoi strażnik kolejowy w czarnym mundurze, to wystarczy, więc w takiej chwili powinni być razem, zarzekała się, że go nie odstąpi; więc nie powinni być razem, to mogłoby jedno z nich (które?) bardziej jeszcze obciążyć; hart ducha wymaga walki samotnej; kto śmiałby podawać w wątpliwość jej miłość do ojca?

– Ty, czarnulka, to twój tato? Nie! Nie, to obcy, ona go nie zna, Kazimiera nie ma żadnej przeszłości, nie ma się czego wstydzić ani bać. Odwraca się, sztywno kroczy w kierunku Rynku, byle dalej od kiosku i współnictwa z tamtym skazanym człowiekiem. Spociła się, cóż to za gorące przedwiośnie. Boi się spojrzeć na kiosk z papierosami; nie chce tego widzieć, jak nie chciała widzieć zabitej kobiety; już wie, że została sama i będzie sobie odważnie radzić;

mokra z bohaterstwa i niejasnego poczucia winy, a przecież przytomna, przecież zimno rozważająca bardziej swoje niż jego szanse przetrwania.

– Lalunia! – rzuca jeden z pijaków.

Nie za nią.

Za Karusią, która triumfalnie uprowadza ojca spod kiosku.

Bezwstydna w swojej dozwolonej urodzie.

I zaraz tamtej nocy przyśniła się Kazimiera inna: nie mogła dostrzec jej twarzy, pamięta zmienność włosów – to złocistoczerwonych, to związanych na karku w czarny węzeł. Juta wie, że tamta jest autentyczna, że tym właśnie zagraża, że chciałaby przerwać zabawę, wywołując na glinianki jak na obiad, w samym środku najzapamiętalszej gry. Ale można się przecież obudzić – myśli chytrze Juta – można się jeszcze obudzić, co oznacza, że wszystko jest snem. I wydaje się jej, że ta myśl będzie ochroną na zawsze, na wszelkie okoliczności: w razie czego obudzę się.

Idą razem z tą rudą? czarną? na pole Osuchowskich, tam za kanałem oddzielającym lasek od drugiej łąki buduje się dom, takie ceglane wytyczenie pokoi, świetne miejsce do zabawy w mieszkanie. To właśnie znak, właśnie sygnał, że to sen: bo przecież tu na łące nie było, nie ma żadnych fundamentów! „Altana, nie poznajesz?” – śmieje się tamta.

Nieprawda, altana jest głębiej, mała i ciepła, pachnie drzazgami świerkowymi, nie ma w sobie nic nowego, a tu – wilgoć, nowość, obcość. Więc naraz jakby przeciąg nad samymi ich głowami, to kulki, od łąki zaczęły strzelać, Juta wpada w głąb spróchniałych fundamentów, pochylają się obie, potem padają na ziemię, w piach. Juta nie krzyczy, gryzie liść brzozy, bardziej gorzki niż zwykle, nagle dławi się tą goryczą: to koniec, Kazimiera uderzyła ją w twarz, zaraz doniesie, wyda wszystko tamtym. Tuż przy twarzy Juty, w półmroku, wielkie oczy rudej – szpiegujące oczy sąsiadki, to ona uderzyła ją w twarz, tak jak chciała przy studni. Dlaczego, za co? Za to, że ja to ty, a ty to nikt? Jeszcze nigdy nie dostałam po buzi, ale to sen, rano ból powinien okazać się zapaleniem okostnej, Kazimiera śmieje się: „zęby śnić – niedobrze”. Otwarte usta, lej po bombie, dół na łące za kanałem. Juta wpycha Kazimierę do przepastnej jamy, piasek osypuje się na nie, podwójna wędrówka robaków, gramolących się z dziury. Ręce i usta pełne piasku, nie sposób się wyczołgać, już nigdy. Kazimiera – płasko rozpostarta – jest brunatnym papierem pakowym, z szelestem sypie się przez nią piach. „Nie żyjesz” – mówi Juta, nie, to mówi Kazimiera, bo Juta (choć myśli o sobie „ja”, a o tamtej „nie ja”) jest już tylko spłaszczonym przedmiotem na dnie leja po bombie, ziemia sypie się na nią spod nóg niewątpliwej Kazimiery. Na wpół zduszona wybucha krzykiem... „nie, nie ja”... wie, że ten krzyk ją obudzi, wyrachowana nawet we śnie – i to ją budzi naprawdę, to ją wówczas obudziło, ale...

Więc nie doceniła bożej przestrogi; a jednak myślała o Nim od rana.

„Boże, mój Mały Boże, który jesteś ze mną, spraw: niech tak się nie stanie, niech tak się nie stanie, niech tak się nie stanie!”

Trzykrotne zaklęcie, magiczne, dla Małego Boga – ochłap rzucony psu, żeby warował, dopiero tak spełni się prośba, a klątwa odwróci.

To nie jest czysta gra z bóstwem, ujarzmianie Go na swój obraz i podobieństwo, obarczanie kompleksami, od których później ma ciebie uwalniać! Tak, zawiniłaś. Tak, zawiniliśmy. Tak, strach jest samoobroną.

Tak, strach jest samozniszczeniem. Więc wymagasz dobrej wiary od Tego, kto jest bojaźnią twoją?

Piach osypał się we śnie, razem ze snem. Osypało się wapno, został po nim spękany sufit jak brudna płachta papieru, o której można już myśleć spokojnie, skoro Mały Bóg – metafizyczna łyżka do butów – został na czas użyty. Co z tego, że w ciągu dzisiejszej doby powróci wielokrotnie niemiły smak snu? Jest przecież dotykalny smak przedmiotów, jest niechybna jawa z gwarantowanym Bogiem za chmurą.

Popękany sufit pojaśniał, to już dzień, słyhać chrapliwy oddech ojca z drugiego pokoju, można sobie wyobrazić, jak tata śpi, twarzą do zimnej ściany, czytana do późna w noc książka osuwa się z kołdry na szmaciany chodniczek, z popielniczki cuchną niedopałki. Tutaj nie ma nikogo; polowe łóżko cioci Zonki okryte starannie wojskowym kocem – ciemnoczerwona równina bez drzew, schludny krajobraz ciotki... Ugodzona ostrzem słońca mucha obija się o szyby, to pewnie był ten rechot żandarmów, pacnięcia kulek o fundamenty; na chwilę wzbiera nowa fala strachu ze snu, czyżby zakłęcie nie skutkowało, czyżby Juta – niepomna na kojącą wszechobecność bożą – miała krzyknąć głośno, udając przerażenie nie do opisanego, żeby ojciec do reszty strząsnął książkę z opadającej kołdry, przybiegł do Juty jak dawny sprzymierzeniec Justyny...

Nie, krzyczeć nie będzie: z tej strony pomoc nie nadejdzie. Pomoc to Karusia, ojcu strach dolega jeszcze bardziej niż Jucie, lęk dojrzały do rzeczywistości, powracający nie tylko w nocnych koszmarach. Tatuś nie umie narzucić sobie rygorów gry, nie chce wiedzieć, że to jest zwycięska w gruncie rzeczy walka Kazimiery... albo jedynie zabawa Justyny... Że śmierć będzie chodziła sobie naokoło, jak chodzi lis koło drogi... Mimo to – a może właśnie dlatego – z okrągłymi od lęku oczami uspokajałby przecież:

„Cicho, no, Juta, Juteńka...”

Czy sama nie odmówiła sobie prawa do tych opiekuńczych ramion?

Juta, Juteńka...

– Juta?

Wtedy, pierwszego dnia u Doriany:

kudłaty chłopak ciągle patrzy i patrzy, podrzucił i złapał dużą, miękką kredkę, znowu podrzucił, znowu złapał, nie spuszcza wzroku z Juty.

– Dlaczego tak wołają na ciebie w domu? Od Kazimiery to będzie Kazia, Każka. Ale Juta? Ju-ta?

– A Ziuta? Nie słyszałeś jak na Kazimierę mówią Ziuta? Ziuta, Juta, to jedno.

Uśmiech i wiara w to, co się wygłasza; mocna wiara w małe, obronne nieprawdy.

– Judyta... – cedzi powoli chłopak. – A może ty jesteś...

I nagle Dorian (nie zauważyli, że stoi za ich plecami):

– Twój tatuś pochodzi z Włoch, prawda? Kiedy byłem we Florencji...

Zaczął opowiadać o jakiejś Włoszce imieniem Juta.

Tatuś nigdy nie był we Florencji.

Szkoda, że nie jest Włochem, że nie są we Florencji: podobno tam nie odróżniają, może tam – na pewno tam – byłiby bezpieczni wśród ludzi o ciemnych włosach i oliwkowych cerach – on, ona, ciocia Zonka.

Nad drzwiami jego pokoju zły omen: pająk rano, oby tylko nie zaznaczył wpadką dnia, co zaczął się snem tak koszmarnym. Trudno dopomóc szczęściu wróżbą dodatkową – jeśli pająk zejdzie trochę niżej, pod futrynę, to dobrze (już zaczął schodzić, stąd ten zbawienny pomysł...), jeśli nie, to... waha się... rusza przed siebie... zlął.

Ten i tamten pokój, rozdzielony pająkiem, jakby znakiem, że losy dwojga najbliższych sobie osób wojna czyni odrębnymi losami – to namiastka prawdziwego domu. Namiastki herbaty, namiastki imion, namiastki mieszkań; tak się przedtem nie mieszkało – na łóżkach polowych albo pryczach wypełnionych twardymi siennikami, pod spękany, łuszczący się sufitem, wśród ścian bielonych tandetnie, z narzuconym na gruzelki nie wyrównanej farby gorączkowym ornamentem ni to gałązek, ni to kurzych łapek. Poniżej sufitu jadowicie błękitny pas .podkreśla granicę nieba z ziemią, na niebie dwie zeszcłe muchy, pajęczyna w rytmie przeciągu, ten zląający właśnie pająk – fatum. Ruchome szarości dnia zza okiennic jeszcze zamkniętych: to chwieją się akacje i krzewy jaśminu albo ktoś przechodzi ulicą Gałęzną za

plotem odległym zaledwie o ścieżkę. W niebie paskudna żarówka na przykurzonym kablu, abażur ze spiętego drutem kartonu w kolorze niegdyś czarnym, dziś rudym, jak płaszcz Sąsiadki. Pod żarówką – wniebowzięte za życia muchy na lepie, ofiary cioci Zonki. Juta nie znosi ich hałaśliwego męczeństwa, niechby umierały bez protestu... Wszystko to już niegroźne, już oswojone, choć tymczasowe – w rzeczach nie przyswojonych trzeba by rychło umrzeć; może ojciec właśnie nie potrafi obłaskawić sobie codzienności, dlatego te oczy, dlatego – Karusia?

Na samej granicy nieba z ziemią (przez ile dni – miesięcy – lat takie będzie twoje niebo powszednie?) górna krawędź pieca kaflowego błyszczącego solidnie, jakby nie brał udziału w tej zмовie ersatzów. Późną jesienią piec zaczyna domagać się zgodnie ze swą rangą obrzędu rozpalania ognia, nieporadne dłonie ojca wsuwają do paleniska zmięte gazety: gadzinówkę warszawską i „Deutsche Allgemeine Zeitung” i „Volkischer Beobachter” z radującymi serce taty nekrologami poległych na froncie wschodnim – więc i tata ma swoje muchy na lepie... *Unser geliebster Sohn und Bruder... für Filhrer und Vaterland...* przesadza w patetycznym zaśpiewie ojciec, wsuwając szczapy smolne do pieca takim ruchem, jakby jego palce brudziły się zetknięciem nie tylko z niemieckim drukiem, ale i z nieczystym, pełnym drzazg i zaczepów drewnem. Cóż za ślamazarne łamańce, ażeby z okrągłą elegancją pozbyć się brudu tego świata! Tatusi potrząsa pudełkiem zapalek, trach, płaskie palce przeświecają różowo jak przy zapalaniu papierosa na wietrze, zawsze namiętne palił papierosy, godzinami przesiaduje teraz w jedwabistym jeszcze nie tak dawno fotelu ciotki Zoni, patrzy na swoje delikatne dłonie, na postrzępiony atlas bonżurki, na ulatujący dymek „klubu” – dla Juty gotowy puszczać zabawne kółeczka, choćby w tym samym czasie nieruchome jego spojrzenie zatapiało się w czymś dalekim, niewidzialnym i strasznym. Niedobrze mieć takie oczy, one przyciągają ludzką uwagę. Juta nie ma obcego spojrzenia. Ona chce, musi przetrwać; nienawidzi wszystkiego, co mogłoby ją wydać.

Wtedy plany: co by zrobiła, gdyby... Planu na wszystkie okoliczności; myśli, do jakich nie przyznałaby się z pewnością w listach do samej Justyny; zamiary tak niewyraźnie powzięte, jak gdyby chciała ukryć je przed Kazimierą, przed swoim trójwidzącym Bogiem – choć to sprzeczność w samym Jego założeniu...

Więc gdyby. Gdyby jednak zginął. W oczy: tatusiu, nie mogłabym, nie przeżyłabym ciebie ani o chwilę. Za oczami: ale ja nie zginę, jestem podmiotem, jestem nieśmiertelna. Ja – choćbym i nie pragnęła (znowu samousprawiedliwienie!) – muszę żyć nawet w tej najgorszej, najostatniejszej ostateczności i za wszelką cenę, nawet jeśli zginie świat wokół, nawet na cudem ocalałej wyspie.

Jak ty ostrożnie kochasz, gorąca wielbicielko jego rąk, jego szorstkiej marynarki, jego wo-
dy lawendowej! Więc twoja miłość dotyczy tylko skrzydeł opiekuńczych, kojarzy się z oparciem głowy o ramię, na którym wypłakać można strach!

A teraz, tutaj – gdzie szukać będziesz ostoi poza ojcem, jeśli nie znajdziesz w Małym Bogu, odmienionym przez wszystkie trzy przypadki? Już w myśli pogrzebałaś uwielbianego tatę, już zakrzętałaś się około własnego od śmierci zbawienia, już zapuściłaś sobie kłacze na wieczność...

A jeśli On – to właśnie strach przed utratą opiekuńczego ramienia?

Ucieczka od ojca do Osady wymagała wyboru, coraz bardziej niestosowna wydawała się przyjaźń z Milką, Zawadowską powinny brzydzić potańcówki, szklanka bimbru pod szmuglowaną ze wsi golonkę. Z otwartych okien (kłębi się w nich para oddechów i niemądry jazgot patefonu) widać park wokół willi Barbary, jej ojciec jest lekarzem, to on właśnie ich tu ściągnął, jedyny poza Karusią wtajemniczony, więc Barbara okazuje Kazimierzemu litość jakby, traktuje ją macierzyńsko – i zaraża tą wyzywającą odwagą: szepczą po zakamarkach ogrodu o

ćwiczeniu woli, doskonaleniu charakteru; ustaliły program umartwiania się i nękania wzajemnym rygorem. Przeprosiłaś ojca? Jesteś grzeczna dla Karusi? A ty, czy pomagasz mamie przy różach? Wielka mi rzecz: róże! Obieranie przemarzniętych ziemniaków dla cioci Zonki to dopiero biczowanie! Uważaj, popadasz w grzech pychy...

Aleje pełne ciszy i szelestu liści, nie słysząc tu śmiechu i zakatarzonych tang z tych wzgardzonych okien, gdzie za firanką cienie Milki i Marcina... Barbara unika rozmów o tamtej młodzieży, mówi swoje i cudze wiersze, będzie aktorką, rodzice są tolerancyjni nawet wobec artystów. Zwierzenia w kącie parku, na pozieleniałej ławce: będziesz mi rysowała kostiumy... razem w teatrze, wiesz... Potem o miłości, ona ma prawie narzeczonego, jest w organizacji, przysłał jej z Warszawy pierścionek z orzełkiem. Kazimiera nie myśli o zaręczynach teraz ani w przyszłości, wołałaby sama iść do lasu, dziewica bohater. Smarkacze zza płotu wrzeszczą: „Tere fere kuku, strzela baba z łuku”, a one trafiają już w sam środek słomianej tarczy, doskonałość zbliża się do punktu kulminacyjnego.

To były imieniny Barbary, obchodziła je w lipcu na Marii, jakieś zawiłości z pierwszym i drugim imieniem. Przyszły jeszcze jej koleżanki z kompletu, zdecydowała się ujawnić Kazimierę jak wstydliwego kochanka. Podwieczorek na tarasie, w krzyżowym ogniu słonecznych promieni, przebijających gęstwę dzikiego wina; przy balustradzie szytówne matki, komplet min obywatelskich, generalskich postaw. „Kazimiera Zawadowska...” „Znaliśmy Zawadowskich z Zawady, czy to krewniacy?” Jej krewni... Ach, wiotkie, przezroczyście, pachnące ciotki z Krakowa! Wdzięczne pozy na leżakach i szezlongach! Kazimiera prostuje plecy, trzyma łokcie przy sobie, z godnością podnosi filiżankę do ust: takiej tu się spodziewają, taka musi być, trzeba to zapamiętać, żeby wiernie odtwarzać w przyszłości, ilekroć... Barbara skwapliwie:

– Podobna do mojej ciotecznej siostry, prawda, mamusiu? Też Kazia, jest u urszulanek.

Też Kazia. Urszulanki. Zawadowska z Zawady. A może z Zawadowa. Bez reszty przystająca do tego pokoiku Barbary: srebrny ryngraf na pasie słuckim, szarobury tapczanik, jednokowe książki w uniformie okładek.

– Czemu nie chodziłaś na komplety?

– Obudź się, o czym myślisz? Kazimiera z Zawadowa:

– Czy w tych czasach wypada bawić się w szkołę?

Jak to! Nauka jest naszym obowiązkiem! Patriotyczna młodzież!

Wtedy ona:

– Młodzież powinna walczyć. Ja... gdybym już teraz mogła...

I nagle okazało się, że tylko na nią czekały, że marzą o zabawie w tropy, wciągną i ją do konspiracji, zaraz pobiegną rysować te strzałki, to jest właśnie tajne harcerstwo. Podzieliły się na grupy: trzy dziewczynki poszły jako czołówka, a Kazimiera z Barbarą i Danutą za nimi – najpierw umyślnie pod nosem żandarmerii na Rynku, później obok nasypu w las: zmyliły tam ślad kilka razy, wreszcie Baśka wysłała Danutę do poprzednich gałązek, zaraz też chwyciła Kazimierę za rękę, zapytała szeptem: „Ty naprawdę chcesz?” „Pewnie!” „Jak ty możesz... Gdybyś wpadła... Przecież ty... przecież wy jesteście... wiesz”. „No, to co? Masz pietra?”

Zrobiło im się przykro, Barbarze zaskrzyli się oczy i zaraz po złapaniu tamtych powiedziała: „Przyjmijmy ją”.

Tak, doskonaliły się przecież; i Kazimiera zapragnęła zapłacić tamtej poświęceniem za poświęcenie, upokorzeniem za upokorzenie;

uwolnić ich małą konspirację od swojej – większej. Zaledwie słyszała, co mówi Danuśka, z którą wracały od Barbary: „Nie widziałam cię nigdy w kolejce. Nie jeździsz do Warszawy? Dlaczego siedzisz w tej dziurze? Nie macie tu żadnej rodziny...”

To było koło kiosku, Steńka piła duże piwo, Rysiek usiłował zdmuchnąć pianę z jej kufła, pewnie był wstawiony. Wtedy postanowiła: przetnie tę zależność definitywnie.

– To moja siostra cioteczna – powiedziała.

I przeszła przez jezdnę do Steńki, pozostawiając po tamtej stronie przerażoną Danutę.
I Barbarę. I bój o ojczyznę.
Po prostu:
po tamtej stronie.

IV

Świat, gdzie Justyna może bezpiecznie trwać przy swoim dzieciństwie – to ogród inny: siedem wysokich wiązów czy grabów, resztkę starego parkanu, otoczonego zamiast płotu głębokim kanałem. Poniżej drzew – piętro czarnego bzu, dzikie maliny, nieźle już rozkrzewiony laszek sosnowy. Tutaj zapada w piaszczystą mieliznę żywiczny dziób Okrętu, na wpół rozwalonego i – jak każda uczciwa altana – obrosłego dzikim winem, co przeżera drewniane okratowanie, wdzierając się do wnętrza niczym nieokiełznane wodorosty.

Ziemia, raz odnaleziona, staje się później bliska, wystarczy przemknąć się najbardziej skrajną uliczką Osady, potem zygzakiem przez pole Osuchowskich, niby to dla zbierania kaczeńców i niezapominajek nad stawkiem lub szczawiu zajęczego dla cioci Zonki. Zimą trzeba omijać chłopaków z lodowisk, biec w niskich zaroślach od strumyka aż do kanału otaczającego zdziczały ogród Osuchówki – z podłużnym drewniakiem po jednej, a Ziemią po drugiej stronie haszczy. Skok przez kanał albo uważne przejście po zwalonej w rzekę wierzbie, jak najdalej od willi i obu mostków.

W drewniaku większość okien zabita dyktą – wojenna uroda! – mniejszość zasnuta równie nieprzeniknionym brudem. Nazywają w Osadzie ten zapuszczony dom „Willa Melina”, starych mieszkańców jakby tu nie było, czasem tylko wyskakuje rozczochna wiedźma, zgarbiona i malutka, pewnie stara Osuchowska. Lepiej nie pchać się jej w oczy, żeby nie odkryła, Boże broń, Ziemi, Okrętu, całej tej swojej i nie swojej wyspy, o której widać już dawno zapomniała, może nie umiała zobaczyć jej nigdy?

Za wyspą znów okręży kanał, tam dalej piasek jeszcze, później piach przerasta w łąkę, połyskują szkłem rozległe śmietniska, przecina je kopna droga do sąsiedniej wioski, z rzadka przetacza się syrkami koleinami furmanka czy rower.

Wrak okrętu kryje w ładowniach, pod odstającą deską podłogi, zapas irysów, ołówek, szkicownik, listy, listy...

Tu czyta je co noc Justyna.

„...Dorian i T. nie znali się wcale, wiem o tym na pewno. T. poszedł pokazać moje rysunki i Dorian zgodził się uczyć mnie za darmo, żebym się nie rozleniwiła bez szkoły, i tak upiekły mi się już dwa lata. To jest rzeźbiarz, szkoda, że nie możesz zobaczyć jego łąp. Ma ze dwadzieścia pięć lat albo i więcej. Jest chudy, wysoki i okropnie brzydki, ale uśmiecha się fantastycznie. Gośka mówi: „Zęby suszy”... Ciągłe nas śmieszy ta błazeńska gęba i Gośka chichocze jak głupia. Dorian to morowy facet: powiedział, że jestem Włoszką. A przecież widział mnie po raz pierwszy i nic o mnie nie wie. Zrobił to jakby w mojej obronie. Nie podejrzewam, żeby i on się ukrywał, mieszkał tu zresztą i przed wojną, więc musiałby uciec od sąsiadów. Może się domyśla? Jeżeli tak ładnie postąpił, to jest (chyba) człowiekiem pewnym. Nie doniesie, nie wypaple byle komu. T. prosił mnie, żeby takie historie zawsze w domu opowiadać, ale ja nie powtórzyłam, bo T. nie miałby już do Doriana zaufania. Zaczęłoby się nalegać, żeby nie chodzić na lekcje, a może i przenieść się albo uciekać, zmienić Kazimierę na Olgę, Wiesławę, czy ja wiem zresztą na co? A to kiepska zabawa, Justynko, zbyt prawdziwa...”

Ja wolę już kłamać. Nauczyłam się jechać na całego i cieszy mnie to. To są kłamstwa czyste, bo konieczne.

Na przykład wtedy – spjrzałam niewinnie na kudłatego, a Dorianowi mówię: „Tata nie, babcia była Włoszką, mamy jej zdjęcie w domu, z włoskimi koleżankami. Takie kudłate jak te żydowy, albo o, jak ten!” I pokazuję Jacka. Trochę mi głupio przed Dorianem, że powiedziałam „żydowy”, ale trudno, już wypraktykowałam nieraz, że to najpewniejszy sposób. Im ordynarniej – tym wiarygodniej.

Jacek się zaczerwienił, przyglądał włosy i uśmiechnął koślawo – i ja do niego, ale promiennie. Nie mógł się obrazić, chociaż każdy samo posądzenie już uważa za wstyd. Ja przecież nic takiego wprost nie mówiłam.

– „Ten” nazywa się Jacek – powiedział surowo Dorian. – A ty, Juto, powinnaś popracować trochę nad słownictwem. Nie życzę sobie, żeby moi uczniowie wyrażali się jak ulicznicy.

Teraz ja czerwienię się na zawołanie i spuszczam oczy, cała komedia, mówię Ci. Fajny ten Dorian. Mowy nie ma, żebym się w nim zabujała. Za stary. Ale cudo. Też niezły aktor, bo widziałam przecież, że zagrał to od a do zet. Tamci nic nie zauważyli. Trzeba samemu się ukrywać, żeby więcej spostrzegać.

Na jutro: naszkicować drzewo z natury.

Będę u Ciebie z rana i spróbuję machnąć te dwa graby za Okrętem."

Tamtego poranka, kiedy był sen:

ognia rozpalać nie potrzeba, piec nie czeka na codzienną ofiarę, to już wiosna, zbudziły się muchy, za to ojciec może spać dłużej. Pająk przebył krechę błękitu, schodzi z nieba na ziemię, gdzie ma biały stół – czworonoga z odrapanym blatem – fotel ciotki, dwa kuchenne krzesła, polowe łóżko ciotczyne, zbite z desek wyrko Juty.

Wyrko nie należy do ziemi ani do nieba, jest innym światem, czyścowym, na tym sienniku dzieją się myśli najgorsze i przez to wyzwalające: grzeszne wyobrażenia, dla których szczególnie potrzebny jest własny Bóg. „Czy miałaś nieskromne myśli, moje dziecko?” „Tak, ojczec...” Znowu komedia serio, Juta małpuje rytuał spowiedzi, aż do wywołania w sobie prawdziwego dreszczu na myśl o zbrodni zatajenia. „Ile razy? Jakie?” „Nie wiem... nie wiem... nie chcę!” Płacz. Skrucha. Rozgrzeszenie.

Nie chce, bo to coś wstrętnego dla niej samej, choćby jak w tamtej zbrodni z Arturem – przez konieczność wyjawienia (już nie ojcu – już księdzu). A jednak przed zaśnięciem ulega niedobrej wyobraźni, zbawczej wyobraźni, ocalającej od nieskromności na jawie. Na wszelki wypadek (żeby nie powziąć do siebie ostatecznej odrazy?) myśli wtedy w trzeciej osobie, jakby pisała o kimś nieprzyzwoite opowiadanie, jakby nie wystarczało utożsamiać już trzech: Juty, Justyny, Kazimiery. Z całkiem obcego imienia łatwiej się obmyć: handel z własnym sumieniem, z własnym zwierciadłem.

Handel z własnym Bogiem?

Więc – skoro to On o niej śnił – zapisał po stronie MA:

... wspomniała mnie wychodząc z koszmaru nocy, wezwała imię moje nienadaremno, rozpoczynam dzienne czuwanie, jestem zły, jestem zadowolony. Ta sytuacja nie bardzo mi odpowiada, ale wiem, że dzięki akcji liczę się. Przystąpię zatem do działania, ażebyś nie mogła brać mi za złe ni beczynności mojej, ni surowości.

Od rana zaczyna się dzisiaj nasz przetarg, nasze wodzenie się za nos. Wbrew sprzyjającej nieobecności ciotki Zoni (przy niej trudno pogrążyć się w intymnych ohydach, jej czyste oczy są gorsze od oskarżenia – uważa Jutę za dziecko, którym zapewne jest sama) nie będzie powrotu do natrętnych a tak uspokajających potrojeń, nie pozwolę Jucie przytulić się zbyt mocno do wygrzanego siennika. Podwójna gra, oszukujemy siebie nawzajem, niby to z naiwną wiarą w złudzenia: ona – że wyrzeka się raz na zawsze plugastwa, ja – że wierzę w jej absolutną odtąd niewinność. Kłamiemy dziś tym łatwiej, że przeraził i zbliżył nas do siebie okropny sen, ustępujemy sobie, jesteśmy dla siebie dobrzy od świtu. Zadanie poruczone mi przez Jutę: przynajmniej przez jeden dzień chronić od sprawdzenia się koszmaru, bo jeden

dzień wystarczy, żeby zapomnieć, a koszmar zapomniany nie powinien się spełniać na jawie... Ona za to – dla pewności – rozstanie się natychmiast z ciepłą pokusą łóżka. Jaka świeża, jaka dziecinna! Zapewniamy siebie, że tak będzie już zawsze: żadnego wylegiwania się, żadnej drzemki na niby, codzienna gimnastyka przy rozwartych o wschodzie słońca oknach, odpędzanie gnuśnych marzeń o rozkoszy zaznanej wbrew – cudzej? własnej? – woli.

Okruchy białej emalii przylepiły się do jej palców; zapach rozgrzanego lakieru, słońce na parapecie i na błyszczącym stole; wspomnienie dojrzewających jesienią w oknie pomidorów; tak pachną też ich włochate liście, które wschodzą na grządce pod murem. Juta – w starej, za ciasnej piżamie koloru słonecznika – wyskakuje przez okno. Przykucnięta na rabatce, wrywa lebiędę i piekące piórka rozpanoszonych pokrzyw. Ciągłe ta sama woń podokiennej ziemi, zmieszanej z wapnem, tynkiem i farbą, aromat wędnących chwastów i drewniak suchych jak wióry, przywiązanych strzępami sznurka do wielkich łodyg pomidorów. Gdyby można było ograniczyć się do tego kręgu zapachów i światła, okopać się na grządce, bombardować inny – podobno prawdziwy – świat zielonymi kulkami niedo-pomidorów, nie byłbym Jucie potrzebny.

Tak, jak nie byłem potrzebny Justynie.

Justyny nie nawiedzają przecież takie myśli:

Czarna Sąsiadka czyha koło studni, na pewno krąży tam od samego rana albo czai się za firanką; drobna dłoń wczepiona jak pajak w oczka siatki. Dlatego tak trudno chodzić tamtędy po wodę, ciocia Zonka zrzędzi w błogosławionej niewiedzy: „Leniuch! Brudas! Gdyby musia...”

Ciotka nie kończy, nie wolno wspominać mamy, Juta ciągle jeszcze popłakuje, choć nałożyły się na tamto nieszczęście jeszcze bardziej wyjątkowe sprawy zmian wojennych. A znów Jucie nie wolno mówić ani ojcu, ani cioci o Czarnej Sąsiadce, ostrzegać przedwcześnie – byłby strach, panika, histeria. Więc umowa. Więc gra. Więc...

Czy zabawa jest mniej prawdziwa niż takie życie – podwójne, potrójne, potysięczne?

Uczono Justynę: na niby niech będzie w zabawach, ale w życiu nie kłam, mama nie kłamała, nie kłamie tatuś, nikt. Bądź szczerą, szczerą, szczerą.

Szczęśliwa Justyna:
nie musi dojrzewać.

Od gałązki do płotu jeden skok przez wąską ścieżkę i gąszcz przykurzonych jaśminów. Opierasz dłoń o deszczułki pokryte tarczowatymi porostami, które tak lubisz zeskubywać, zdzierać. Ciotka dźwiga siatkę wypchaną kapustą i marchwią, wciąż ta stara, przytęchła marchew i kapusta; trzeba zacząć udawanie na dziś.

– O, kapusta, fajnie, gdzie dostałaś, ciotka? Ciocia:

– Wyspałaś się chociaż? A ja tymczasem do Stępnów, przed szóstą wstałam, ogonek aż na ulicę, przywieźli do nich kapustę, tańsza niż na targu. Milka była. To prawdziwa gospodyni.

Prawdziwa, nie taka jak ty, należałoby to wziąć sobie do serca, zbuntować się i nastroszyć, lecz w tej chwili nie wydaje ci się to ważne, musisz upolować wolność, teraz, zaraz.

– Pytała o mnie?

– Już chcesz lecieć? Zrób śniadanie, umyj się.

– Nie jestem głodna.

– Nie chce ci się, od rana nic ci się nie chce. A dla tatusia, a dla mnie? Rusz się, rusz. Byle nie z powrotem przez okno, tyle razy prosiłam.

Ciotka gramoli się z tym ciężarem do sieni, ona przynajmniej bez obrzydzenia, jak gdyby całe życie spędziła wśród kapuściano-siatkowych problemów. Wyciąga klucz, otwiera drzwi kuchenne. Wśliznęłaś się za nią, pędzisz do pokoju po sukienkę, piżama sfruwa na nie zasłonięte łóżko.

– Pościel łóżko, umyj się.

- Wody nie ma.
- A to przynieś.
- Ojej, ciociu, później.

Trochę wody na samym dnie miski. Mycie raz rozpoczęte stałoby się przyjemnością, gdyby nie pamięć o studni, o Czarnej, która...

- Co to za mycie? Cała, cała, bez oszczędzania.
- Cholerne mydło.
- Juta!

– No co? Umyłam się przecież. Mimo pośpiechu marudzisz przy zaściełaniu łóżka, zrobienie kawy spada oczywiście na ciotkę. Kawa! takie tam zbożowe świństwo, ale zawsze na kraciatym obrusie, ciotka o to dba – nie dać się tymczasowości, zachować rygoru: „O, pani Zonia dzielnie się przystosowuje, dzielnie” – mała satysfakcja osoby skazanej. Chleb kartkowy z chudym twarogiem, bez masła, to przecież nie święto. Szczypiorek o smaku wiosny.

– Zacznie teraz kwitnąć, wiesz, ciotka? Takie fioletowe kulki, trzeba cały zebrać. I pomidory już...

- Obudź tatusia.
- Tak. Nie. Zaraz.

Śpi, jeszcze należy do ciebie; twój tatuś. Obudzi się ojciec Kazimierzy Z., nauczyciel języków. „Pani, skąd on zna te języki? Może to jaki... Żona podobno uciekła od niego”. „Mówią, że to Włoch”. „Jaki tam Włoch, polskie nazwisko – czy aby jego?” „Myśli pani, że tamta panna Karusia zadawałaby się z wychrzta?”

Karusia, panna Karusia, dlaczego akurat jej tak wiele trzeba zawdzięczać, skoro całą zaśluga jest kościuszkowski nos i sprawdzalny rodowód, całą zaś winą... To nieprawda, że chodzi o amulet, o tarczę i pozór: ojciec rzeczywiście znikował na punkcie panny Karusi, całkowicie na łup jej wydany – choćby wypierał się tego, kłamał.

Właśnie to:

ona tu będzie za chwilę, przylatuje co rano z podnajętej klitki za torem, więc nie czekaj na ojca, skończyły się czułości Justyny, lepiej uciec od razu.

– Juta, kończ śniadanie.

– Ciociu, ten jeden jedyny raz! Milka prosiła, żebym wcześniej. Pozmywasz po mnie, ciotczysko?

– A ten kawałek chleba? Chuda jesteś jak szczapa.

– Daj, zjem w drodze, na powietrzu lepsze, wiesz?

Całujesz ciotkę w przelocie, prędko, biegnij, żeby nie dostrzec w oddali plisowanej spódniczki panny Karusi, ta czerwień mogłaby zepsuć cały dzień – bardziej niż pajdak.

Bardziej niż sen o Kazimierze.

V

Tutaj na końcu tej historii —

– tu już wie, sen był jednak ważniejszy, był ostrzeżeniem, przerażał ją i wtedy bardziej niżli się przyznawała: wiązał się konsekwentnie z Czarną Sąsiadką – oczy Kazimierzy ze snu, pajęcza dłoń na firance oficyny... Czy to prawda – gorączkowała się – że nie istnieją jakieś tam przecucia, że sen odtwarza to, co najmocniej wraziło się w pamięć, czy to aby prawda! Doskonale przecież zapamiętała (choć nie pragnęła pamiętać) cień kudłatej głowy Jacka w oknie Czarnej Sąsiadki. Nie pragnęła, doprawdy; powtarzała sobie wielokrotnie i przedwczoraj, i wczoraj wieczorem: to nie był żaden Jacek, to inny rozkudłany chłopak, albo sama Czarna zdjęła nareszcie tę żalobną chustę, rude włosy rozwichrzyły się wokół głowy, znowu była Meduzą, wstrętną i ryżą, którą Justyna straszyla siebie, dopóki nie miała lęków zmysłowych przez wojnę.

Podejrzenia, wątpliwości...

Rozczochrany cień rysował się niezbyt wyraźnie na zaciemniającej kotarze, nie można za długo stać z pełnym wiadrzem i gapić się w cudze okno. Więc chwila zaledwie.

I dlaczego miałby to być Jacek, akurat on! Oczywiście: skojarzyła sobie jedno i drugie pytanie o imię, tamto: „Judyta” i to: „Nie może być, nie może...” – ale pewnie też coś w ruchu, w kształcie tej potarganej głowy przypominało Jacka. Złudzenia, strachy? Może zabawa w szpiega, szukanie tematu do korespondencji z Justyną?

I – ostatecznie – cóż by to szkodziło, gdyby nawet Jacek odwiedzał Czarną Sąsiadkę! Nie musi z nią rozmawiać właśnie o Jucie, o tatusiu, imionach, o Dorianie i Florencji.

Nie musi.

A jednak.

Zawinił spokój poranka, zapach zieleniejących pod oknami pomidorów, parujące grudki zmieszanej z wapnem ziemi – jakże mogła pamiętać o śnie, przyjąc sygnał.

Więc otoczenie jednoznaczne, wyprane z lęków:

jest sama na ulicy Gałęznej, wymknęła się cioci Zoni, ojcu, Karusi, wyzwolona od udawania, wzniosła, wzruszająco szlachetna; już nie myśli o Karusi, myśli o Marcinie – od tego momentu zresztą, kiedy dotknęła tarczowatych sztachet płotu, wzdłuż którego idzie teraz. Skubanie porostów zawsze widać będzie przypomnieniem tamtego wieczoru: Marcin odprowadzał ją do domu, szedł po prostu w tę samą stronę, nie spodziewała się niczego innego, Marcin jest własnością Milki. Czyżby ociągała się wychodząc od Milki, czyżby chwilę czekała na Marcina? Nie, to wykluczone, Kazimiera jest uczciwa wobec przyjaciółki, snuje sobie chwalebny melodramat: nie przyzna się Milce, nie zdradzi, odejdzie bez jednego słowa – chodzi zresztą jedynie o przyjaźń z nim, nie wyznał owego wieczoru żadnej miłości, skądże, szacunek tylko. „Bo jak się kiedy ożenie, to z taką przyzwoitą, poważną dziewczyną jak ty”.

Tego jej właśnie potrzeba. Tej pochwały walorów moralnych, o których posiadaniu święcie jest przekonana, broń Boże nie cielesnych, to zmaćliby czystość duszy dążącej do dosko-na-łoś-ci – w pierwszej osobie, nie w trzeciej, jak tamte brudne rojenia Juty...

Kto inny dostałby może zawrotu głowy – ale Ten co śni o niej jest małym patronem rachunków i targów. On obliczył, że każdy z jej światów bywa ceną płaconą za dwa pozostałe: infantyizm za wzniosłość, uniesienie za spryt... Jego to nawet raduje, On czuje się Małą Sumą. W tak niesłychanym zamęcie Ktoś przecież dbać musi o czyste prowadzenie kont...

Spokój tamtego poranka, wytargowany za obietnicę skromności...

– Milki nie ma w domu.

To pani Salanga. Otworzyła drzwi, cofnęła się szybko przez korytarzyk do mrocznego pokoju, przeprosza, jest w koszuli i szlafroku, dopiero co się położyła.

Najlepiej byłoby zwać od razu – nie można, pani Salanga zaprasza, odsuwa stos rzeczy ciśniętych na krzeselko przy podwójnym łóżku. Już znowu leży pod kołdrą i nie zdjętą atlasową narzutą, odrzuciła tylko ramię drewnianą i koronkową kape. Pokój zimny, zaciągnięte story, na aksamitnej serwecie znak tymczasowości: tłusty papier z resztką boczką czy baleronu.

– Wejdz no, siadaj, Julitko, głowa mnie boli, widzisz, dopiero co wróciłam, Milkę żem wysłała z towarem, rąbanka nie może czekać do jutra.

Mówi Jucie „Julitko”, to wytworniej; pani Salanżyna wybierałaby zapewne same wytworne słowa i zajęcia; właściwie nigdy nie pracowała, ale przez tę wojnę musi jeździć na szmugiel, tłuc się pociągami pełnymi handlarek, czasem o świcie wracać wozem, czasem rowerem, dlatego tak ciągle z tą głową; a bałagan to przez Milkę – bo lata, zamiast myśleć o domu, o matce.

– Julitko, chciałabym dwa słówka: żebyś trochę przytrzymała Milkę. Starsza od ciebie o te trzy lata, prawda, ale ty jesteś inteligentna dziewczynka, ona ciebie uważa. Z kim chodzi na te

spacery? Uczy się teraz jak z łaski, zaniedbała szkołę, same dwóje, jeszcze ją wyleją i wezmą na roboty. Znasz dobrze Marcina, co?

W półmroku nie widać rumieńca Juty, głos na szczęście brzmi spokojnie.

– Nie zanadto... To znaczy tak, właściwie dość dobrze. On ma prawie dwadzieścia lat i jest taki... poważny, wcale nie lata za dziewczynami, Milkę okropnie szanuje i.. i...

– No, można i tak to nazwać – wzdycha pani Salanżyna. – Mnie się widzi całkiem co innego. Nie on lata, ale za nim latają. Czy oni się nie całują po ciemku?

– Ale skąd! – zaperza się Juta, niemile dotknięta. – Jak się ściemnia, to zaraz jest godzina policyjna, nie wolno być na dworze. A w dzień to ja bym widziała, ja cały czas chodzę z nimi, my chodzimy z Ryśkiem i Stenią.

Pani Salanga siada na łóżku i przygląda się Jucie. Potem odwraca się do poduszki, poklepuje ją, tarmosi, wygładza – śmieje się chyba.

– Dobra, dobra, niech będzie – mruczy. – Chodzenie to przecież nie znaczy chodzenie... Nie obraż się, Julitko, ty pewnie lalkami jeszcze się bawisz, nie?

Juta śmieje się razem z nią, wcale się nie wypiera, gotowa grać małe dziecko, skoro pani Salanżyna tak ją widzi w swojej życzliwości – to tak jakby odwracała się ku tej osobie nową stroną siebie, trzeba tylko ten kąt obrócenia zapamiętać, żeby w przyszłości umieć to powtórzyć przy każdym spotkaniu (ileż wreszcie jest we mnie tych stron?). Dobrze są takie posądzenia o infantylizm, zjednują sympatie ludzi Osady, trochę zaniepokojonych odmiennością Juty. Lalki? Niech będą lalki.

To nieprawda; nie ocalała niczego z tamtego świata – ma tylko Justynę, która jak lalka ani umrzeć, ani żyć prawdziwie nie potrafi.

„...To bardzo dziwne, że od dawna spotykałam M. wszędzie, na każdym kroku, nawet tam, gdzie wcale Go być nie powinno. Wychodził niespodziewanie zza węgła ulicy. Albo nieoczekiwanie był w sklepie, w kiosku, na stacji. Może to ja Go szukałam? A może... M. szukał mnie? Trudno mi o tym pisać, nigdy nie śmiałybym napisać w całości Jego imienia. Nie, ja nie odbiorę go Milce. Przenigdy.

To zapowiedź wielkiej, wielkiej przyjaźni. Przyłapuję się na tym, że uśmiecham się jak M., poruszam jak M., nawet mówię jak M.! Co za szczęście, że pani Salanżyna tego nie zauważyła...

Chcę dużo mówić o Nim. Rozmawiałam z Milką o jej miłości. Że M. ją kocha, że może Go być pewna, bo to najwspanialszy z chłopaków, szczerze jej powtarzam. A jak się pobiorą (ja ich w przyszłości połączę), to będę już zawsze blisko, jako przyjaciółka ich obojga. Nigdy, nigdy Mu nie zdradzę, że Go więcej niż lubię! I będę przekonywać, że zrobiliby głupstwo zeniąc się ze mną. Milka to najwłaściwszy dla Niego wybór. Ona jest naprawdę dobra (nie dla umartwiania się jak Barbara) i okropnie Go kocha. Wiem, że to mi wystarczy, będę szczęśliwa, oni też.

My wszyscy troje.

A jeżeli to będzie po wojnie... Jeżeli dowiedzą się, że nie byłam tym, kim byłam, że przez cały czas okłamywałam najbliższych... Czy zrozumieją, że nie mogłam inaczej, czy mi wybaczą! Ja im prawie ufam, tylko wiem, że łatwo wygadać się przypadkowo: mogliby mnie wyspać całkiem niechcący.

A oni nie umieją tak bez ustanku mieć się na baczności. Bo też trzeba świni wyjątkowej, żeby wydać swoich. Ale ja nie jestem swoja i zwyczajny, przyzwoity sąsiad może sypnąć... Przyzwoity ogólnie, ale w te sprawie nie.

Najgorsze, kiedy pomyślę, że Milka nie chciałaby mnie znać, gdyby wiedziała o moim pochodzeniu. Przecież utarło się, że to prawdziwy wstyd – być mną. Jak w tej piosence: „I ja też wyznam, choć mi wstyd, że się ukrywam...”

Więc – i szczęśliwa teraz jestem, i smutno mi, Justyno.”

Nie zasmucaj Bożego oblicza, zerknij pomiędzy czerwone i niebieskie marginesy, tam wszystko jak na dłoni Opatrzności: morze łez cofa się w nagłym odpływie, obnażając płycizny sentymentalnych urojeń – wzruszenia i wyrzeczenia dokładnie są wymierzone i wyważone. Lecz jeden żal czy lęk cięższy jest od wszelkich innych uczuć na tej szali, on wagę przechyla na stronę MA, staje się wielkością rzeczywistą – to uraz, nieprzyjazny twój cień.

Tu daje o sobie znać miłosierdzie Boże:

ja, Mały Bóg, pozwalam ci na zwyczajny dzień, fajny dzień, kiedy wszystko widać oddzielnie, każdą gałąź, każdy liść, a wiatru jest w ciepłym powietrzu akurat tyle, ile trzeba, żeby było weselej...

Życie znowu zamienia się w żywot wieczny i to pełen rozkosznych niespodzianek – nagłych wyznań Marcina, ukradkowych jego spojrzeń. Trzeba wyjść niespodziewanie naprzeciw, nie zapominając przecież o uroczym fakcie istnienia innych chłopców, którzy będą przechodzić obok, patrzeć, podziwiać. „Świat podoba mi się i ja chcę się podobać światu!” – tak można by określić nastrój Juty, doznaje go częściej od tamtych uczuć, ale w tej chwili nie umie tego ocenić, jest jej po prostu dobrze.

Idzie środkiem ulicy Głównej – tam właśnie mieszka Milka – ulicy wbrew nazwie na poły leśnej, o długich płotach, o do okólnych brzozach, o czterech czy pięciu wąskich, dwupiętrowych kamieniczkach; jezdnia brukowana szeroko, ogrodzona bielonymi krawężnikami, chodnik przeplata się z trawą i piaskiem. Wdychać zapach młodych liści brzożowych i jaśminowych, śpiewać sobie cichutko, cieszyć się, że się jest! Każdy krok jest częścią taktu, Juta zawsze chodzi w ten sposób, czasem podskakuje dla akcentu, istna wariatka (lubi nawet ten tatusiowy okrzyk: „Istna wariatka!”). Lecz oto kończy się swoboda; idą. Potargane czupryny, gęby nieco pryszczate, jeden za to ma cerę rumianej panienki. Paczka „czeladników”, z innymi jeszcze kolegami, bez Jacka. Zresztą wszystko jedno jacy są i kim są, należy zaintrygować ich, oszołomić, zmusić do spojrzeń. Juta odstawia obojętną piękność: koncentruje wzrok na dalekim, nieznanym horyzoncie, chwilę zmaga się z wyrazem twarzy, żeby wyglądać jak najgłupiej, to zawsze robi wrażenie tajemniczości – nie widzę was, jestem ponad wami, nie interesują mnie sprawy ziemskie; szlachetna, kobieca bezmyślność.

Chwyci?

Chwyci – jeśli nie są zbyt zajęci swoją grą:

i oni już ją spostrzegli, bawią się teraz podwójnie, bo raz – każdy z osobna, po wtóre – zbiorowo. To utrudnia zabawę; obecność kolegów trochę wprowadzie ośmiela, lecz odbiera szansę czarowania w pojedynkę. Zbiorowo muszą stawiać się i zaczepiać, pojedynczo uprawialiby grę Juty w męskim wydaniu: roztargniony wyraz twarzy, nieuważne kopanie kamyczka albo podrzucanie szyszki, broń Boże nie wolno zgubić niczego ani upuścić, więc ta łatwość, lekkość jest pozorna. W każdym razie idzie się prosto na Jutę, żeby skrócić w ostatniej sekundzie tak, jakby omijało się nie dostrzeżony wcześniej słup telegraficzny. Potem można już popatrzeć za dziewczyną z przelotnym niby to spóźnionym zainteresowaniem, pogwizdując leniwie jakąś melodyjkę.

Obejrzeni się? Obejrzeni, Juta sprawdziła to kątem oka, ćwiczyły z Goską takie patwienie, trzeba dobrze skoncentrować uwagę na granicy widzianego pola. Ten rumiany to jakiś przyjezdny, zresztą sami smarkacze, Juta gardzi nimi, teraz miewa kolegów dużo starszych – od szesnastoletniej Milki do prawie dwudziestolatka Marcina.

Ale jego o tej porze nie widać na ulicy. Bywało: wyskoczy umorusany z warsztatów przy stacji: „Cześć, Juta!”, kupuje papierosy w kiosku, wraca do majstra. Dla tej jednej chwileczki warto przejść przez tory dwa i trzy razy, choć nie zawsze jest pretekst. Tym razem smarkacze blokują wejście do warsztatu, marudzą też koło kiosku – może myślą, że są interesujący, że Juta dla nich tu krąży? Hańba! trzeba zejść z posterunku.

Juta robi przedstawienie, żeby uzasadnić swój niespodziewany odwrót: zatrzymuje się przed skrzynką pocztową, wyciąga z kieszeni kopertę z listem Justyny, spostrzega rzekomo

brak znaczka i chce podejść do kiosku; nagle zaczyna szperać po kieszeniach, wywraca je – są oczywiście puste, musi niby to iść do domu po pieniądze. Wzrusza ramionami (ostatni akt przedstawienia), robi w tył zwrot, wpada z impetem na Czarną Sąsiadkę.

– Uważaj! – syczy jej prosto w ucho Czarna. – Kto tu jest wariatką?

Juta, czerwona jak burak, cofa się, bąkając „przepraszam”. List wypada jej z ręki, leży na chodniku, nie ma oczywiście nazwiska ani adresu, jakby Juta zamierzała wrzucić do skrzynki białą kopertę...

Czarna Sąsiadka przenosi spojrzenie z zagadkowego listu na Jutę.

– Przepraszam. Przepraszam – Juta szybko podnosi kopertę.

Uciec jak najdalej. Do Justyny, do jej Ziemi. Do fajnego dnia.

„...Nie znasz mnie, nazywam się Kazimiera Z., o dwa lata starsza od Ciebie, dużo bardziej wyrosnięta, okropnie przez to chuda, tyka chmielowa. Ale wiesz o mnie wszystko co było, dopóki miałam Twoje imię i nazwisko, a mówiono mi Juta. Dalej mówią tak samo, to jedyne czego nie potrafię się wyrzec, na co odwracam głowę na ulicy i w domu. Więc T. uważał, że bezpieczniej nie odbierać tego przemocą.

T. nie nazywa się Aleksander L., tylko Antoni Z., a Mamusia żyje! tak! i rozeszła się z Antonim Z. we Lwowie, oni stamtąd pochodzą. Nie mam siły potępiać jej za to odejście, bo to lepsze niż umrzeć. Przynajmniej gdzieś ta Mama jest – nie wiem gdzie, ale to nieważne... I tak nazywa się Maria Z., więc to obca dla mnie osoba.

Nie rozumiesz? I ja niewiele z tego rozumiałam, i ciągle się boję, że ona spotka się z nami. Że nas wyda. Że pojawią się ni stąd, ni zowąd wszyscy, tamta cała rodzina ze Lwowa – bo co się stało z Kazimierą i Antonim TAMTYMI? Albo umarli, albo sprzedali nam siebie, wówczas mogliby przyjść, szantażować – a my nie mamy już nic. Wtedy zandarmi, może nawet ten gruby z posterunku...

Justyno, to straszne Ciebie zabijać, żeby żyć.

Ale pomyśl o ile straszniej nosić umarłe imię.”

Zanim nastąpiło tamto ostateczne i najgorsze, Kazimiera bała się już tego właśnie zandarma: że zawsze uśmiechał się na jej widok; więc to on był porannym pajakiem, grubą zmorą przedpołudnia – dwadzieścia kroków w stronę Rynku, dwadzieścia w stronę dworca, nie sposób nie natknąć się na niego i zawsze jego uśmiech, zawsze jej głupi wyraz twarzy.

I też później myślała, że wygrała z nim, jak z owym snem, jak z pajakiem znad pieca.

To była zresztą rozgrywka z Barbarą.

– Serwus, Barbara.

– A dzień dobry, jak się masz... – zaskoczona, przymierza stosowny wyraz twarzy, głowę zwraca do okna, jakby zainteresowała się nagle tym, na pamięć znanym, krajobrazem: oto pierwszy sklep Osady, krata wystawy... oto betonowy murek z odrutowanymi wyrwami... willa w kształcie zameczku... pusty placyk, baraki...

Kolejka z wizgiem rusza z przystanku, raptowny zakręt rzuca Kazimierę w stronę drzwi przedziału, teraz Baśka jest tuż przy niej, wstała tak szybko, czy chce wysiąść pierwsza na pętli? Żongluje ostrożnie w powietrzu dużym pudłem – kolorowy sznurek, bibułka z firmowymi zawijasami.

– Wiesz... Takie małe przyjęcie... Może zajrzysz, dziś o piątej?

Więc nie potrafi z godnością przyjąć tego, co stało się nieodwracalnie, znów Kazimiera musi być tą silniejszą, tą mądrą? Starszą naraz od Barbary o całe wieki gorzkiego doświadczenia, przykrych zawodów, upokorzeń.

– Dziękuję, mam dziś Dorianą. Co czytasz?

Barbara łokciem przyciska wysuwającą się książkę w burej okładce Micewskich, umyka spojrzeniem gdzieś w bok; i oto twarz jej się zmienia, książka i ciastka lądują na obudowie

silnika, w kącie platformy; Kazimiera idzie za wzrokiem Barbary, widzi zieleń mundurów dookoła końcowego przystanku, coś podobnego, to wygląda na łapankę, jest i gruby żandarm – specjalista od szmuglu, specjalista od życzliwych uśmiechów: wziął kiedyś ojca na tłumacza z francuskiego, odtąd wyraźnie uważa się za znajomego Kazimiery, bawi się jej zmieszaniem. Barbara wygląda żałośnie, wpatruje się w tamtych, plecy wpiera w obudowę motoru, jakby mogła cokolwiek zasłonić swoją szczupłą sylwetką. Kolejka zatrzymuje się nadspodziewanie płynnie, ludzie wstają z miejsc, stoją nieruchomo, jest cisza, potem schrypnięty ryk żandarmów.

– Idź – mówi prawie bezgłośnie Kazimiera. – Ja wezmę.

Tak, teraz pożałujesz tamtego, teraz docenisz mnie naprawdę, zobaczysz prawdziwą harcerkę! Teraz...

– *Guten Tag, Fraulein.*

Uśmiecha się do niego, jakby promień rozjaśnił jej twarz, potrafi wyobrazić sobie, że go naprawdę lubi, to po prostu gruby wujaszek w zielonym mundurze, gęba od ucha do ucha: O, *mein lieber Augustin Augustin, Augustin...*

Popchnął ją lekko poza kordon, pierścień mundurów zaciska się wokół tamtych pasażerów, paczki i torby lecą na peron, Barbara pokazuje jakąś legitymację. A ona nie musi, ona idzie Rynkiem w stronę ulicy Gałęznej, w jednej ręce trzyma książkę od Micewskich, w drugiej to duże pudło, czuje wyraźnie nadmierny jego ciężar, ciężar granatów, ciężar SPRAWY. Zaniose je do willi Baški, nim ona wróci, po prostu oddam rodzicom i wyjdę, żadnego zostawiania na podwieczorku, żadnych dalszych kontaktów... Bohaterstwo w najczystszej postaci... Żeby tylko zerknąć chociażby na tę amunicję, zobaczyć to naprawdę z bliska; Kazimiera wchodzi do ogródka i chowa się w jaśminach; przewierca gałązką bibułkę z napisem i cienki papier z wierzchu pudełka; patyczek natrafia ma coś miękkiego – różowy krem, gałązka ocieka niefałszowaną słodyczą.

Oslupiała i wściekła; ale tylko przez chwilę – to niegodne Kazimiery; zaczyna się śmiać i ryczy w jaśminach tak głośno, że dla uspokojenia musi zatkać sobie usta najwspanialszym z różowych ciastek.

Na polu Osuchowskich pasły się kozy, nie było przy nich pastucha, przywiązane do kołków bydłeta szarpały się z uporem, chciały być właśnie tam, gdzie łańcuch nie sięgał, a przecież tuż obok palików krzewiła się najbujniejsza trawa i gdyby Juta była kozą... Roześmiała się.

Na jej widok kozy ruszyły zdecydowanie do natarcia na ścieżkę, co przebiegała między nimi a siatką sąsiedniej posesji.

– Bacność, nieprzyjacieli! – powiedziała Juta.

Potem jeszcze:

– Nieprzyjacieli na postronku! Gadanie do siebie stanowiło nieodmienny rytuał zabawy. Ścisnęła mocniej paskiem swoje listy, trzymane teraz w zanadrzu – ostatecznie po spotkaniu z Czarną Sąsiadką nie uważała kóz za prawdziwą groźbę, postanowiła miłować nieprzyjaciół swoje, co znakomicie według niej wpływało na samopoczucie Opatrzności, po której spodziewała się tak wiele...

Podeszła do kołków, aby uwolnić od zaciskającej się pętli uwikłane kozłátko.

– Co, czego się mieszasz?

Kudłaty Jacek. Wściekły, niemal na niego wlaźła, nakryła go przy pilnowaniu kóz – ważnego czeladnika, artystę od kozich bobków.

Zlekceważyć to spotkanie? Załagodzić rzecz całą?

Może ofiarować się do pomocy, zapewniając, że od maleńkości chodziła za kozią kitką.

A jeżeli Jacek uzna to za podejrzaną unik?

Więc nie, więc wyśmiać go, rozgadać po ludziach tak jak on się tego niechybnie spodziewa – byłaby to już walka na śmierć i życie, on wtedy znów by z tą Judytą i...

Juta myśli gorączkowo:

Jakbym się zachowała najprawdziwiej, gdybym się go nie bała? Bez kompleksów? Odruchowo?

I wyskakuje na kudłatego:

– Idiota. Chciałam jej nogę wyplątać, pokaleczyłaby się. Co za człowiek, zwierzęciu pomóc nie da.

– Bo nie trzeba. Twoja koza czy co? Znalazła się siostra miłosierdzia. Kozia doktorowa.

Już zadowolony, już uprawniony do szyderstwa, to znaczy, że wygrała, że zachowała się właśnie najtrafniej – zjednała go nawet, zamiast obrazić do reszty.

– A prawda, byłbym na śmierć zapomniiał, na Capri capy kują! Wymawia Capri przez c, nie przez k.

– Te, Rzymianka, mam do ciebie jedno pytanie, o twojego tatę mi się rozchodzi.

O tatę!

Pogasły kaczęńce, słońce nad Jutą zawirowało, spada na pole Osuchowskich, czarne plamy tańczą przed oczami, zaraz łąka zamieni się w bezbarwną pustynię, nie będzie beztroskiego dnia, Ziemi, Okrętu – będzie rzeczywista wojna, ukrywanie się, strach. Tylko teatr, jest dalej: zagrać tym numerem, co przed chwilą, na inny sposób nie stać Juty w takim zamęcie.

– Ty się mojego tatusia nie tykaj. Ja to ja, a ojciec to za wysokie progi na twoje smarkate nogi, wiesz?

Wykonuje to zadanie ze zdwojonym temperamentem, wie, że oczy jej płoną, są wtedy o wiele ładniejsze, Jacek przygląda się dość przychylnie.

– Fiu! Pomyśleć, że jażem chciał mu zapłacić.

Zapłacić? Za co? Co ojciec mu zrobił?

– No, ile on tam bierze za lekcje? Gadaj, nie bój się, mój stary ma ciężką forszę. I chce, żebym ja się uczył języka, jakbym nie miał swojego. Takie fanaberie: rano kozy paś, po obiedzie artysta i parle franse. Potrzebna mi ta rzeźba u Małpy!

Lżej oddychać. Słońce wraca na niebo, odzywają się na powrót żaby i koniki polne. Wszystko dobrze, wszystko oddzielnie: żdźbło, listek, łodyżka. Chwała Ci, Mały Boże, i za to, że nie włoski, ale francuski: włoskiego tata w ząb nie umie. A swoją drogą trzeba ojca uprzedzić o tej Dorianowej Florencji: „Narodziła nam się babka Włoszka, tatusiu...”

– U Małpy? – Juta udaje ciągle obrażoną, lecz już zaintrygowaną. – U jakiej Małpy?

– Raju, nie wiesz, że Małpa to Dorian? Widziałas, jakie ma łapska? I gębę jak szympans. Wszyscy mówią na niego Małpa.

– Jak na mnie Juta! – korzysta szybko.

Rozładowała! Co za majstersztyk: rozładowała kompleks imienia!

I rada jest, że wreszcie śmieją się głośno obydwójce.

Są żaby, są polne koniki; jest Mały Bóg.

Jest Bóg, który daje odczuć przychylność niebios przez wyrzuty sumienia:

dłaczego sprzeniewierzasz się Dorianowi? dopiero co byłeś dla niego pełna uznania – uczy cię bezpłatnie, stanął w obronie imienia „Juta”, a ta jego małpia gęba o szerokim uśmiechu pełna jest zaraźliwej radości życia. Po dwakroć, Juto, po trzykroć jesteś dłużniczką Dorian! To cię widać upokarza, chciałabyś przestać go lubić i nie możesz. Znienawidzić, pozbyć się wszelkich wyrzutów i zobowiązań 'na rzecz rozkosznego dreszczu pogardy – to nęci. Ale nienawiść nazywają przecież krokiem do miłości, nie pragniesz takiego ryzyka, twoje serce nie pomieściłoby teraz niczego poza uczuciem dla Marcina, więc bronisz się przed wdzięcznością i niewdzięcznością jednak, gotowa jesteś sprzymierzyć się z tą bandą bezmyślnych

uczniaków, jak ci nie wstyd! Mało ci innych dziecinad, zacznasz grę w podrwanie z Małpy – jutro, pojutrze będziesz tego żałowała, wierzaj...

Okręt zakołysał się na falach wiosennego wiatru, ten wiatr podniósł się z dna pogody w samą porę, żeby chwiać sosenkami – suche i węzlaste, mocno trzymają się piasku, a jednak jest w nich wilgoć morza, falowanie morza, odpływanie morza daleko, w stronę zawsze nieznanego horyzontu.

Z bocianiego gniazda, poprzez graby i wiązy, widać cały las, całą suchą łąkę za kanałem, drogę kopną ku wsi, a co dalej – niech nie będzie wiadomo, wtedy jest uczucie tajemniczej samotności, bezkresu oceanu. Równie tajemniczy wydaje się kaleki drewniak z osłepłymi oknami, za nim wysadzana topolami droga na cmentarz. Może ta cmentarna okolica odpycha ludzi od willi Melina, aż dziwne, że ścieżka nie zarosła trawą, wydeptały ją czyjeś niewidzialne stopy – czy tędy chodzą umarli? Brr, nagły chłód w samym środku przezroczystego dnia.

– Ahoj, Justyna! Ahoj!

Zsunęła się z masztu, ostrożnie, drzazgi wbijają się w dłonie, w łydki nad wysokimi skarpetami, można zjechać zbyt nagle na miękkie, próchniejące dno altany, kto wie, jak głęboko zapadłaby się pod pokład. Tu w półmroku jeszcze prawdziwiej szumi iglaste morze, sztorm kołysze Okrętem, wrak skrzypi, jakby miał rozpaść się lada chwila. Pod wykruszoną deską, w znacznie większej, bardziej robaczywej ciemności, leżą sekretne listy. Justyny jeszcze nie ma, ale przybędzie na pewno, kiedy zapadnie noc, a i teraz czai się gdzieś blisko, wstrzymuje oddech, żeby nie zdradzić swojej obecności nawet przed Jutą.

Ale Juta wie i tak. Juta widziała ślady.

– Przeczytaj te listy – szepcze. – Do widzenia.

I znowu dreszcz, łzy w oczach, sama przestraszyła się widma, które wywołuje – lubi te sztuczne nastroje, lęki nieprawdziwe, które każą potem cieszyć się w dwójnasób jasnością Ziemi.

Najlepiej wskoczyć na drzewo: konar tej małej sosenki jest wygrzany, złoty, kołysze się coraz lżej, poddając Jutę łagodnie to ceniom, to słońcu. Nigdy nie chodziła zbyt dobrze po drzewach i właśnie dlatego...

Szkicownik, węgiel – Juta próbuje zapamiętać chaos gałęzi i liści najbliższego olbrzyma. I naraz wie, czuje:

oto Justyna wychyla dziecinną buzię z najbliższej kryjówki, wypelza na czworakach, otrzepuje ręce i kolana oblepione próchnicą, zbliża się do szpary między deskami pokładu. Mała, puciołowata, beztroska. Wyciąga rękę, która była ręką Juty, uśmiecha się uśmiechem Kazimiery, bierze ze skrytki list.

Drzysz? Sama tego chciałaś;

„Kochana Justyno!”

VI

Jeżeli go wyśmiewałaś –

– dlaczego jemu właśnie oddajesz kawałek Ziemi, skrawek własności Justyny?

Zapewne sama sobie pragniesz udowodnić, że masz do niego po tamtej historii zaufanie – więc nie Milka na nie zasługuje, nie Marcin, tylko on!

Dorian zresztą nie potrafi zrozumieć twojego wspaniałomyślnego gestu, nie wie, skąd pochodzą te drzewa, te biegające w cieniu sploty liści i gałęzi – ruchliwy zamęt plam tak postrzępionych, że każde powtórzenie ich rysunku zdaje się zbyt grzeczne, uładzone. Dorian daje niezłą ocenę, podoba mu się – powiada – odwaga Juty, szkicowała zresztą świeżo poznanym węglem, to pozwalało jej efektownie blagować, zamazywać kontur. Tamci – „czeladni-

cy” i ulizana Małgoška – wybrali ołówek, co zmusiło ich do znacznie większej dokładności, wypracowali każdy niemal listek, ich drzewa przez nadmierną dosłowność wydają się po-
mniejszone, nieprawdziwe. Tylko Jacek wystrzelił: zrobił gęstwinę krzaków nad rzeczką i to
sepią, pędzlem, „kozią kitką” – śmieje się w duchu Juta.

– To ma wyraz! – woła Dorian, odsuwa od siebie karton i przysuwa, zasłania to jedno, to
drugie oko, ogranicza pole widzenia. Jacek – niewdzięcznik! – z uciechą naśladuje za plecami
Małpy każdy z tych gestów, Małgoška i czeladnicy chichoczą.

– Co za śmiechy! – burczy Dorian. – Głupia zazdrość, prawdziwa sztuka nie znosi takiej
zazdrości, każdy artysta jest inny, muszą być odrębne ambicje.

Z tym Juta zgadza się w gruncie rzeczy: nie ma w niej ani krzty zawiści, sama nie pojmuje
dlaczego lub raczej nie ma ochoty przyznać się przed sobą, nie doszła jeszcze do takiego
stopnia autoironii. Mały Bóg wie: Juta nie zazdrości, bo i tak zawsze bywa pierwsza, cacana,
najlepsza bez odrobiny wysiłku, stąd rodzi się w niej przekonanie, że to uświęcony porządek
rzeczy, że tak być musi. Ona jest ośrodkiem, trzonem, sednem, reszta bierze się w najlepszym
wypadku z jej wyobraźni – ileż wysiłku wkłada w zapamiętywanie cudzych spraw i słów, o
ile jej bezpośrednio nie dotyczą... Te mgliste fantomy nie mogą jej prześcignąć, byłoby to
dowodem błędu w założeniu! Bardzo łatwo przeskoczy wszystkich, wystarczy pouczyć się i
popracować trochę – nie dziś to jutro prześcignie nawet „szczególny wyraz” Jacka, nawet ów
talent i doświadczenie Małpy. Nawet Boga, skoro za jej przyczyną jest On tylko stąd-dotąd?

Od Doriana wyszła tego dnia razem z Gošką; Juta od pierwszej chwili czuje niechęć do
ulizanej skromnisi, cóż, kiedy tamta jest słodka, klei się, trudno ją tak po prostu odsunąć,
wyminać. Zresztą ma przynajmniej jedną zaletę: sztucznie podniecona gada bez przerwy o
swoich sprawach, wtrąca się do wszystkiego, przywłaszcza sobie cały świat, nie dopuszcza
zatem Juty do głosu, co pozwala na milczenie i nieuważne słuchanie. Juta skupia się przede
wszystkim na czarowaniu czeladników, którzy wyszli od Doriana nieco później, to zbliżają
się do dziewcząt, to zostają w tyle, tłukąc się blokami rysunkowymi lub wykopując sobie
wzajemnie spod nóg upatrzoną szyszkę. Juta czuje na sobie wzrok tamtych chłopaków, prze-
krzywia ma bok głowę, odrzuca do tyłu włosy, grzywkę odgarnia okrągłym ruchem, nogi
stawia na krzyż, jak to na pewno robią modelki – co wyczytała w jednej z wycinkowych ko-
lekcji Milki – wreszcie wybucha perlistym śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – oburza się zaraz Goška, przejęta swoim opowiadaniem. – Dużo
starsza od Małpy, mówią, że dlatego ma hyzia.

– Hyzia? Dorian?

– Nie! Ona przecież. Chodzi tam, gdzie bawią się dzieciaki, stoi, gapi się. Kiedyś przynio-
sło ją nad staw na polu Osuchowskich, to było zimą, no, mówię ci: cyrk. Poleciała za jedną
dziewuszką, wywaliła się na lodzie, wstaje i śmieje się niby, ale łyzy jej ciurkiem po twarzy!
Ona mieszka tam obok ciebie, uważaj, nie wiadomo co ona chce robić z tymi dziewczynkami.
U nas w Poznaniu była taka jedna...

Bęc! Szyszka wymierzona w Jutę trafiła Goškę w łydkę, ta w krzyk, pociera nogę, czerwona
z zadowolenia, że chłopaki ją zaczęli (niby to nie wie, że jej nie lubią!), przedłużyła tę
rozkosz wyzywaniem: „Tadek! Jurek! Co wy sobie myślicie! Głupi Jacek!” A chłopaki:
„Małgocha, w, Małpie się kocha!” Więc zostawiła ich w spokoju, zerkając na Jutę, czy ta aby
dobrze słyszała.

Skręciły w stronę kościoła, Goška powiedziała:

– To on się kocha we mnie... Spuściła oczy, skromna taka.

– Żeby nie ta jego stara dziwaczka, dawno by się do mnie dowalała. Jak on na mnie patrzy,
świntuch!

Jak to: świntuch?

Juta, oburzona i niemal wstrząśnięta, nastawia ucha, wstręt zaostrza ciekawość, zaraz
wszystko u Goški okaże się dwuznaczne, brudne, atrakcyjne; słuchać, chłonać!

– No, mówię przecież, oni żyją ze sobą na wiarę. Małpa ją poznał we Lwowie przed wojną, podobno była piękna, rzeźbił ją czy malował (pewnie całkiem goło, wiesz?) i poszła za nim, rozwiodła się z mężem, specjalne zezwolenie dostała! Dopiero we wojnę czegoś wściekła się i mieszka już osobno, chyba czasami go odwiedza. Widziałaś, jakie u niego szerokie łóżko w kuchni? Na dwoje!

Gośka chichocze, Jucie gorąco, rozpiną płaszczyk, wiosna taka słoneczna, światło bije od murka cementarza. Gośka zniża głos do szeptu:

– Juta, wiesz, ja znam jedną piosenkę o TYM.

Oczy jej błyszczą, jakby miała gorączkę, koniec nosa też świeci, jest wyjątkowo nieapeptyczna, ale już za późno na obrzydzenie, jedynie święci młodzieńcy w pobożnych czytankach wolą wyskoczyć z pędzącego pociągu, niżeli spojrzeć na gorszący obrazek. Juta musi słuchać, musi wiedzieć, zdobywać nowe materiały do przedsennych marzeń.

Z kościoła wychodzi ksiądz, opędza się od jakiejś dewotki, Juta poznaje zrudziały płaszcz i żalobną chustę – niesamowita para, dwa roztrzepotane gawrony na jaskrawej bieli kościelnego muru.

– Patrz! – szepcze Gośka. – Wariatka!

Czy nie straciłaś znowu głowy na widok Czarnej Sąsiadki? Nie popełniłaś jakiejś omyłki, która kosztowałaby życie?

Zamocz końce palców, przeżegnaj się, nie zapomnij klęknąć na wprost ołtarza, przeżegnaj się powtórnie, wstań, przesuń za ostatni rząd ławek – jakby z roztargnieniem, niech to wygląda na odruch. Uważaj!

Gośka obserwuje cię, wciągnęła niemal przemocą do kościoła, nie stropiona grzeszną rozmową. Może chce mieć dowód, że jesteś CZYSTA, że Jacek pomylił się wtedy. Albo z prostej ciekawości obserwuje twój stosunek do sprawy zbawienia...

Domyślasz się: ona w kościele bywa często, dla samego nawyku włożenia ludziom i księdzu w oczy, a jej Bóg składa się z tradycyjnego IMIENIA i pustej skorupki FIGURY, z której wyparowała wszelka idea; jeśli coś kołacze się w tym posążku, to zgorzenie – może dlatego Małgośka tak często prowokuje jedyny odruch swojego Boga: zasłanianie oczu gipsowymi dłońmi...

Odtąd bez ustanku wciągać będą oboje – Gośka i jej Bóg – nieszczęsną Jutę do chłodnej kruchty, nie tyle z potrzeby religijnej, ile dla nikczemnego terroru, dla trzymania w szachu współniczki obmowy. Juta męczy się, nie śmie protestować. Gośka zaczyna mieszać się z tamtym koszmarem, wchodzi na miejsce Czarnej Sąsiadki, przepędza niemal Kazimierę rzeczywistą, a Kazimiera ze snu ma teraz we wspomnieniu maślane warkoczki, ulizane, grzeczne – tak dolega Jucie współnictwo w sekretach, uległość wobec wtajemniczonej, urzeczenie występkiem. Gośka przeraża i pociąga zarazem, jak wstrętna myśl przedsenna; najwidoczniej wie o tym, wprowadza zamknięty system kalania się i oczyszczania, grzechu i Boga, przywłaszcza sobie nie tylko cały świat, ale i jego ośrodek – Jutę. I z dnia na dzień wydiera ją Milce.

Po wyjeździe pani Salangi pokój Milki nabierał barw, jej barw, które tak pociągały Jutę egzotyką cudzego snu. Ożywał, zmięczony bielą firanek, rozjaśniony żółtym refleksem odbitym od rozsuniętych stor. Uwnioślony marzeniami, tęsknotami, poezją Milki.

A była to poezja romansowa, poezja buduarów, zaludnionych hrabiami popełniającymi słodkie mezalianse, książętami pachnącymi pudrem i pustą buteleczką po zwietrzałych przedwojennych perfumach. Mieściła się w tak pojętej wzniosłości i podarta koronkowa kapa na atlasowym łóżku, i czerwono malowana podłoga usiana szpilkami do włosów, i kolorowe powiększenia fotografii na ścianach. Na pierwszy plan wysuwało się wszakże olbrzymie lustro („tremo” mówiła Milka, a Juta wyczuwała drzenie zwierciadła), jego pajęczce serwetki,

jego wstążki z nitką szychu, jego szczotki, grzebienie, i wyszczerbione, posklejane bombonierki z porcelany. Lustro poszerzało pokój do rozmiarów pałacowej komnaty, jaką był w rzeczywistości, skoro mieszkała tu Milka, złotowłosa księżniczka z przeczytanej powieści, jeszcze przed wojną wyciętej z gazet.

– Mówił o mnie, Juta?

Juta zachichotała, wpatrzona w piąty palec lewej ręki, właśnie zasychał lakier nałożony na ten jeden paznokieć, dłoń wyglądała karykaturalnie i tego mógł dotyczyć chichot. Milka nie powinna była domyślić się, że śmiech jest nerwowym szukaniem jakiegoś wybiegu – Juta zaczęła nucić kołysankę, huśtając paznokieć jak niemowlę o bardzo różowej buzi.

– Juta, smarkata jesteś, oddaj pędzelek. Milka wypłukała pędzelek w acetonie, wytarła go strzępkiem gazety, odsuwając ostrożnie nie biorące w tym udziału palce, pulchne, krótkie, mocno zaróżowione, z dodatkowym akcentem nieprawdopodobnej czerwieni na paznokciach. Obejrzała ręce w lustrze, popatrzyła sobie przeciągle w oczy, z trudem przywołała się do czegoś na kształt rzeczywistości, westchnęła.

– A więc nie mówił.

– Mówił, a jakże.

– Że co?

– Że kocha bezgranicznie – zadeklamowała Juta. – Że śni i marzy, wznosi złoty pałac na szklanej górze...

– E, idź – powiedziała Milka bez urazy. – Nie zgrywaj się.

Najbardziej nawet wulgarnie zwroty brzmiały w jej ustach okrągło i elegancko:

Milka nie mówiła, Milka cedziła powściągliwie i starannie, jej Bóg nie musiał zasłaniać uszu, cóż to za rozkosz patronować estecie! Kanon piękna fałszował niewątpliwie jej świat, lecz – jak wszelki rozumny fałsz – upraszczał, ułatwiał, ulepszał zatem.

– Cholera! – wyrecytowała. – Nie powinnam być zazdrosna: „miłość ci wszystko wybaczy”...

Juta zrozumiała: piosenkowy frazes pokrywał ogromne, prawdziwe cierpienie, w rozpacz łatwiej mówić słowami poety... Miała ochotę rozbeczeć się z żalu i wstydu, jak gdyby winna była temu, co powiedział jej Marcin. „Zazdrosna! Gdyby ona wiedziała o kogo powinna być zazdrosna!” Odrzuciła natychmiast tę myśl, nie wolno płamić się nawet odrobiną poczucia wyższości, lojalność każe zapomnieć o sobie, ratować Milkę, ocalić dla samej siebie maskę szlachetności.

– Milka, niemądra, on cały czas o tobie, naprawdę, a z tą starą babą to chyba plotki, dawna historia.

Milka siedzi na taborecie przed lustrem, ale patrzy daleko poza swoje odbicie, zagadkowa, niepojęta – pewnie chce tak wyglądać.

– Nie tak dawna... Ona dopiero przed rokiem odeszła, bo...

Ocknęła się nagle, umknęła spojrzeniem gdzieś w bok, jakby nie chciała napotkać wzroku Juty ani bezpośrednio, ani w lustrze. Ukrywa coś, albo gra postać z tamtej powieści o porzniętych kartkach. Jakim życiem będzie żyła, jeśli zabraknie tej najważniejszej, tej wszystko wyjaśniającej stroniczki?

– Bo co, Milka?

– Nic... ty nie wiesz? No, więc wszystko jedno kto to jest.

Więcej nie powie nic a nic, na pewno. Ciąg dalszy w następnym odcinku; Milka przenigdy nie zniszczyłaby lekkomyślnie atmosfery tajemnicy – nawet tej, o której nie pisano w żadnej książce.

Myślałaś wtedy:
Czarna Sąsiadka?

Każda tajemnica od niedawna zaczęła być dla ciebie Czarną Sąsiadką, każda niedobra tajemnica – wszelkie zawieszenia głosu, spojrzenia znaczące zdają się mówić o tamtej. Milka sygnalizowała, że idzie tu o jakąś znajomą starą babę, tak mało tych wspólnych znajomych: Micewska? Pani doktorowa, matka Barbary? Ciotka Zonia? E, bzdury.

Czarna jest samotna i ma w sobie coś intrygującego – im dłużej myślisz o niej, tym lepiej widzisz, że te niesamowite, gorejące oczy są jeszcze bardzo piękne. Ile ona może mieć lat? Ze dwadzieścia osiem, trzydzieści: tyle, co panna Karusia, a ta ciągle w pretensjach, że nie daj Boże.

Więc Czarna Sąsiadka i Marcin! Więc ona tylko udaje świętoszkę! Rozstała się niedawno z Marcinem, znudziła mu się, on pewnie omija ten dom i podwórko, rzeczywiście owego wieczoru przy płocie wydawał się jakiś spłoszony, wciąż się oglądał, ale przypuszczałaś, że to w obawie przed Milką, albo wścibską Stenią, która mogła wracać tędy z Ryśkiem. A on bał się tej wariatki, tej... Jak ona śmiała, stara dewocica!

Gotowa niemal zapomnieć, skąd wziął się twój strach przed Czarną, całą nienawiść przeczucasz na domniemaną historię z Marcinem – lżej nienawidzić za coś tak zwyczajnego. Niechby ta jędrza spróbowała do niego wrócić! Marcin jest własnością Milki, częścią jej nieprawdziwie pięknych snów o życiu, musisz dopilnować, żeby te sny się sprawdziły, potrafisz to wywalczyć!

Nie dla siebie podobno (wyłączyłaś pamięć o tej najważniejszej przyczynie), podobno dla niej, dla niej, dla Milki!

Więc nowy lęk? Żeby Marcin nie dotrzymał słowa, nie zwrócił się w jej stronę?

Ona przecież nie wie, wcale nie chce wiedzieć tak wcześnie, co to jest miłość, w dodatku – o zgrozo! – wzajemna. Nie wyobraża sobie nieuchronnego ściągnięcia uczuć z nieba na ziemię. Szczęśliwy finał? Kontakt fizyczny? Brr! Nie pragnie doświadczać w pierwszej osobie wrażeń z przedsennych opowiadań o jakiejś „nie-sobie”. I wreszcie co zrobiłaby z takim mężem? Przecież w głębi duszy wie, że to nie to, że spodziewa się kogoś innego, dojrzalszego, z inteligencją, z polotem; żeby nie był taki młody i taki obcy – zawsze imponowała jej ogląda i dowcip ojca, jego prawdziwa dorosłość (więc bezpieczeństwo przy nim), wdzięk jego ubrań, zapach wypielegnowanych dłoni, policzków. Szuka niby-ojca, a Marcin to po prostu Marcin...

Więc nie wyrzeka się go dla Milki, wyrzeka się go dla siebie, we własnym interesie, z korzyścią dla pięknych uczuć na dobitkę. Kocha własną dobroć, wzrusza się pseudopoświęceniem do najgorętszych łez.

Atoli Bogu wiadomo: takie łzy to nie strata – to szczególne wyrównanie rachunku sumienia.

„Justyno, mój Bóg wystawia mnie na Zbyt okrutną próbę: na próbę przyjaźni.

Nigdy nie powiedziałyśmy sobie z Milką, że jesteśmy przyjaciółkami. Bałabym się wymówić głośno to słowo, skończyłoby się jak z Barbarą, bo jak się coś powie, to zaraz przestaje być prawdą. A ja naprawdę kocham ich oboje.

I przez to Małgocha wygrywa! Powiedziała, że jest moją przyjaciółką i że jestem pierwszą przyjaciółką w jej życiu. Wcale nie bała się tego wyznania ani tego słowa. Więc nie mogą jej po prostu odepchnąć i nie mogę wyjaśnić, że Milka to coś więcej i że coś więcej M. Po pierwsze – byłoby to straszną niedelikatnością. Po drugie – ona wymyśliłaby coś, żeby się na nich zemścić, i na mnie.

Justynko, Ty nie wiesz, jakie to ciężkie doświadczenia! Chcę być dobra, nie odtrącać Gośki, bo coś należy się jej za taką przyjaźń – i robi się z tego niewola, kłamstwo.

Więc myślę teraz, że może tak było z T. i z panną Karusią? Może T. wciąż kocha mamę, przecież miłość prawdziwa trwa i za grobem. Tylko nie chce robić przykrości Karusi, bo ona mu się oświadczyła. Może też ma z nią sekrety TAKIE i boi się zerwać pierwszy? Dlatego zapiera się tej miłości przede mną i przed ciotką Zonią. I dlatego taki zły, jak mu wypalę prawdę w oczy.

W dodatku wczoraj stało się najgorsze. Posłuchaj, co powiedziała Gośka: «Niechby ten Jacek spróbował jeszcze kiedyś wyzwać ciebie od Judyt, to ja mu nagadam. Przecież ja nie przyjaźniłabym się z TAKĄ, ja to zawsze poznaję.»

Więc gdybym zerwała z Goską – to prawie groźba, nie?”

VII

Trudniej było już wtedy oddychać.

Wiosna rozżarzyła się na dobre, pachniała wapnem i kurzymi piórami, pogubionymi w miścach piaszczystych podwórek, nad młodymi jeszcze liśćmi i trawą stało wysuszone na popiół niebo. Jutę udrećzały wonie kurników i zjełczałego tłuszczu, marzyła o chłodzie pokoju Milki, ale chodziła codziennie do Gośki, na brudne podwórze zarosłe zielskiem, przelewającym się ze zdziczałego ogrodu sąsiadów.

Siedzą w tym skwarze na odrapanej ławce za szopą i wychodkami, pasą koguta uwiązane-go na postronku, żeby nie uciekł do ponętnej kokoszki sąsiadów. Kogut czupurny i nastroszony, nazwały go Jackiem. Zapach kurzego pierza z wolna staje się zapachem Gośki, Jutę mdli sam widok żółtych warkoczy; nie umie uciec inaczej niż do myśli o goryczy rumianków tam w pobliskiej trawie.

Gośka:

– Co byś ty zrobiła, Juta, gdyby tak: kochasz się w Marcinie, a tu widzisz, że twoja przyjaciółka Milka...

Skąd ona wie? Niemożliwe, żeby przypadkiem. Juta w popłochu popełnia zdradę:

– Milka nie jest moją przyjaciółką. Ty jesteś...

Pragnęłaby tym spiesznym kłamstwem odwrócić uwagę Gośki od Marcina, odstąpiła od szlachetnej (i jakże perfidnej) zasady nie kłamania wprost – lecz ta nadludzka ofiara jest daremna, Gośka przerywa:

– Ja nie o tym. Mów, co byś zrobiła? Okrągłymi oczami, (oczami koguta Jacka)

spogląda prosto w oczy Juty. Nie sposób zgadnąć, czego oczekuje, co wie. Juta:

– A ja bym wcale nie mogła w Marcinie – z drzeniem wymówiła to imię. – On ma odstające uszy.

Uszy są niezwykle sugestywne. Uszy i pryszcze. Jak Gośki nie weźmie siła uszu, to będzie trzeba uciec się do pryszczy...

Gośka:

– Wiem, że ty nie mogłabyś. On ma zresztą pryszcze.

Sama na to wpadła! Skąd bierze takie argumenty, jakby chciała uniknąć pomówienia – czyżby i ona...

– Tak tylko pytam, ty masz podobno fantazję, a ja... Więc na wszelki wypadek wolę znać w przyszłości różne sposoby. Bo czy ty nie wiesz... Nie wiesz, jak się odbija chłopaka?

Śmieje się czegoś, zaraz urywa, zmieszana jakby. Palcami bosej stopy zakreśla na piasku elipsy niewiadomych liter, szybko je zaciera, znowu i znowu. Więc to tak!

Głos Juty drży lekko.

– No... ja zbrzydziłabym mu tamtą.

Komu? kogo? dlaczego nie mówisz konkretnie, udajesz, że zapomniałaś o kogo chodzi, po co poddajesz ten pomysł – czy masz nadzieję, że Gośka pochwyci go, wykona, oczyści ciebie od wszelkiej odpowiedzialności?

Tu czas, aby Mały Bóg oderwał wzrok od nieskończoności, przestał wdychać gorzkie rumianki, zapomniał o zbawczym chłodzie traw przy samej ziemi, stał się czujny, zaczął śledzić manewry na strategicznej mapie Juty.

Gośka:

– Czy to prawda, że jakby powiedzieć komu, że się go kocha, to on sprzykrzy sobie taką i odejdzie?

– Chyba. Bo to śmieszne, czy można kochać taką, co się wygłupiła?

Gośka:

– Ale są takie, co nie powiedzą chłopakowi za skarby.

Juta:

– Pewnie!

O sobie czy o Milce? I po co brnie w intrygę jakby oślepiąca połyskiem maślanych warkoczy? Po co z nie przymuszonej woli dorzuca:

– Jak któraś dumna, to nie wyzna przecież. Nawet w liście. Gośka patrzy bacznie na Jutę.

List mógłby być od niej, ale anonimowy...

Juta:

– O czym mówisz? Jacek się zaplątał...

Co anonim? Anonim to świństwo.

Przykucnęła rozwikłała sznurek, przeczekwała rumieniec i bicie serca – brzydzi się i spodziewa jednocześnie, fanatyczka lojalności, szlachetna heroina melodramatu.

Ejże, czy nie pomyliłaś gatunków w swoim teatrze? Wzniosłość pomieszana z groteską; idź do klasztoru, Ofelio, idź do klasztoru!

Kazimiera miała potrzebę oczyszczenia się, odradzenia:

powracała tutaj, do tej uświęconej szarości, jak po nimb, po aureolę męczeństwa – od tamtej chwili, kiedy pani Micewska rozpląkała się na jej widok.

– Moje dziecko, moje kochane dziecko! Więc zatrzymali tę małą? Dziękuję ci, że się naraziłaś dla nas... Zachowamy to w tajemnicy, dobrze? Ale na przyszłość... Jesteś za .młoda, dziecinko... Te gazetki nie są zabawą, co za szczęście, że nie znaleźli ich u Barbary.

A ona miała jeszcze w ustach smak ptysiów i resztkę różowego kremu na wargach. I nie bardzo rozumiała, dlaczego Micewska tak czule przycisnęła do piersi tę odniesioną dla świętego spokoju książkę – aż wreszcie... O mało co nie nastąpiła katastrofa: przecież taki nagły wybuch wariackiego śmiechu byłby gafą nie do usprawiedliwienia, ale, o Boże, jak trudno zachować powagę, skoro nie te ciastka, na których wywarło się zemstę, tylko stara, nudna powieść dla panienek! Tam kryła się tajemnica zdenerwowania Barbary!

Kazimiera powracała odtąd niemal codziennie pomiędzy szarobure ściany regałów, ażeby wtapiać się w umartwiająca geometrię poziomych półek, pionowych książek, sześciennych pudeł z fiszkami i dwuwymiarowych katalogów; powracała do zapachu druku i zatłuszczonych stronic, po których przebiegają bezbarwne i szybkie mole książkowe – „z rodziny Micewskich”, jak określała, patrząc na przezroczystą, ruchliwą pomimo garbu, panią Micewską. Powracała, popadała w nałóg dotykania i wachania książek, przewracania kartek; szperania godzinami wśród buro obłożonych tomów, dla niespodzianki odkrywania pod tą jednolitością rzeczy różnych i barwnych; wyciągania z kątów rozmaitych szpargałów, nadjedzonych przez wiecznie tu buszujące myszy. Później zachłyśnięcie się powietrzem i światłem Rynku było jeszcze większą niż zazwyczaj przygodą.

A w dodatku – od tamtego dnia – uwielbienie ze strony pani Micewskiej. – Czym będziesz, moje dziecko?

Odpowiadała:

– Historyczką sztuki.

Albo:

– Architektem, proszę pani.

Jedno i drugie pasowało do lekcji rysunków i brzmiało o wiele dostojniej od marzeń o malarstwie czy kostiumologii.

Pani Micewska wzdychała, znów na pograniczu łez:

– Powinnaś chodzić do szkoły, to są lata stracone, szkoda. No cóż, czytaj, czytaj dużo. Przy twoich zdolnościach...

Znów nie wytrzymała zachwytu, wstydliwym ruchem odwracała się, aby zdjąć zapotniałe okulary, celowała różkiem chusteczki w kącik oka, podobna do zabeczanej owcy o różowym nosie. Kazimiera przyłapywała się surowo na chęci skarykaturowania tamtej, zmuszała się do podziwu: przecież to nie byle głupia płaksa – gazetki, szyfry w powiastkach dziewczęcych... Potulniała z własnej nie przymuszonej woli, szarzała, upajała się obliczem dla-Micewskich, tak bardzo uszczęśliwiała ją konieczność obdarzania kogoś szacunkiem – może tu kryje się ten jedyny autorytet, to zbawienie, to bezpieczeństwo, którego nie sposób szukać u ojca?

– Weź Kraszewskiego... Weź *Krzyżaków*, właśnie oddano...

Z grzeczności trzeba się zachwycać, ale to wcale nie są te książki, z którymi włąziłoby się na drzewo – co innego taki Twain albo France, albo Capek, tylko że tych pani Micewska nigdy nie proponuje, trzeba przemycać pod pretekstem przypadku, więc:

– A to, co odniósł pan Dorian? Cienka książeczka leży na stole obok szklanki z błądą cieczą o rumiankowym kolorze i woni. Pani Micewska odpija łyżeczek – i krzywi się, nie wiadomo, czy ze wstrętu do herbatki, czy z odrazy do lektury Dorianiana.

– To? E, to *Portret Dorianiana Graya*. A weź sobie, weź. I po chwili namysłu dodaje:

– Tylko wiesz, ten Wilde... Uważaj, dziecino. To przecież zboczenie!

A teraz, a tutaj – jakie grzechy notuje Ten z niebiosów?

Nagła pewność – to On zapewne przemawia przez rozdarcie obłoków – pewność, że nie te rojenia przedsenne, które gotowa była dawać Mu w zastaw za najlepszą monetę: za ocalenie dzień po dniu, chwila po chwili.

Co innego bywało winą prawdziwą, niewyznawalną nawet wobec Małego Boga, wobec siebie, i oto przyszła pora na inną spowiedź, na inną skruchę, na rzeczywistą falę wstydu, uderzającego czerwienią na policzki.

Bo cóż to za licha spowiedź przed konfesjonalem jak w teatrze: mozolne spisywanie wykroczeń według punktów na tajnej karteczce, radość samobiczowania, pełen wzruszenia szept w kratę, za którą ten czy inny Bóg, unikanie sformułowań zbyt konkretnych, radość oczyszczenia!

Brałaś sobie do serca szczerą i całkowitą TAKIEJ spowiedzi? Pociągało cię święto rozgrzeszenia człowieka przez ideę? Pożądałaś pięknych uniesień, próbowałaś być w-gruncie-rzeczy-prawdomówna? zasłużyć na wielkopostne katharis?

Wiesz:

i to było częścią twojego rachunku, utrzymywałaś się w stanie łaski, znowu pierwsza, znowu najlepsza, uprawniona do wszelkiej Zbrodni w imię strachu o tak piękną siebie.

– Zaraz kłamstwo! – rozgniewał się tatuś. – Jakie tam kłamstwo, nie musisz tego wyznawać na spowiedzi, już raz ci mówiłem, nie wolno ci, to mogłoby się skończyć tragicznie. Co tam obowiązek świętej tajemnicy, nie dowierzam temu, przecież ksiądz też...

Zająknął się.

– Ksiądz też nie człowiek. I sam się roześmiał. Roześmieli się wszyscy troje: bo i ciotka, i Juta. Już załatwione, groza wyspy rozładowana jednym powiedzonkiem, jacyż są niepoważni, widać ta lekkość ratuje ich przed pójściem na dno.

Panna Karusia pochyliła się nad talerzem, zapewne trochę zgorszona, wychowano ją w szacunku dla księży, nie rozumie tych żartów. Juta wyczuła jej rozdrażnienie (od pewnego czasu wiedziały o sobie sporo, jakby łączyła je sekretna współzależność), powzięła uparty zamiar udowodnienia ojcu głupoty Karusi, nie pomijała teraz żadnej okazji do awantury, w

ciągłej nadziei, że jakaś kłótnia otworzy tatusiowi oczy na przepaść między nim i tą przybłądą, że udowodni wspólnotę z ukochaną córką.

– Na spowiedzi mówi się wszystko, niech im pani wytłumaczy. Prawda, że pani wyznaje księdzu wszystko?

– Ja? – panna Karusia odsunęła talerz. Resztki kartoflanki rozkołysały się, opryskały ulubioną serwetę cioci Zonki, Karusia gorączkowo zabiera się do wywabiania plam.

– Tak, pani! – krzyczy Juta. – Pani, pani!

Ciotka daje Jucie znaki oczami; potem wzdycha, zbiera z rezygnacją talerze, wynosi je do kuchni.

– Nie życzę sobie... – mówi panna Karusia.

Na szyi ma ceglaste wypieki, słodka blondynka o wrażliwej cerze, u niej nawet ta delikatność jest odrażająca, niewybaczalna.

Wstaje od stołu, sięga po torebkę, wyjmuje pudełko papierosów: co za banalna reżyseria, wyraźny brak inteligencji... Jutę razi ten stereotyp sytuacji na jej własnej scenie.

– O pół tonu za głośno – wkracza tatuś z odsieczą. – Juta nabiera manier swoich prowincjonalnych kolegów. Ten jakiś Marcin, ta Milka... – Celowa prowokacja czy nieświadoma? Kiedy indziej taka uwaga o Marcinie spowodowałaby zwrot w dyskusji, doprowadziłaby Jutę do wybuchu. Dzisiaj kierunek natarcia jest nieodwracalny – Juta, wpatrzona w Karusię (która nie wiadomo czemu nie może zapalić zapałki) ciągnie bardzo nieuprzejmie.

– Bo ksiądz na pewno dopytywał się o nas, tu w sąsiedztwie mieszka ta ruda dewotka, ona przecież widzi, że pani...

Panna Karusia zaciąga się dymem, ze sztucznym spokojem mości się w rozwalonym fotelu, papieros drży lekko w jej ręce, to już spore osiągnięcie.

– Co widzi? Nie mam sobie nic do zarzucenia, moja droga. Nie wiem, co dla ciebie znaczy „wszystko”, „wyznawać wszystko”, znajomość z tobą nie jest chyba grzechem, nie muszę się z niej spowiadać.

– O, ze znajomości ZE MNA... – powtarza Juta lekceważąco.

– Wyjdź! – rozkazuje tatuś. – Ale to już.

Juta ma oczy pełne łez, proszę, kto tu jest ofiarą? Potulnie idzie do wyjścia, nie daje się w kuchni zatrzymać cioci Zoni, na złość wszystkim woła głośno od drzwi:

– A ja i tak mam dosyć, dosyć tej Kazimiery! Żeby to już raz... Z płaczem wypada do sieni. Prosto na stojącego w półmroku Jacka.

„...Ty już przestałaś być najgorszym niebezpieczeństwem, bo nie ty jedna jesteś stróżem naszej tajemnicy.

Mam na myśli Jacka. Tego kudłatego czeladnika, wiesz.

Wiem, że on słyszał coś takiego, z czego się domyślił i teraz omija mnie wzrokiem. Jeśli umyślnie podsłuchiwał wtedy pod drzwiami, to z rozmowy nie mógł uchwycić niczego. Ale później krzychałam w kuchni, że nie znoszę czy też dosyć mam tej Kazimiery. Nie śmiem go pytać, czy zrozumiał coś z tego. Z takich pytań wynika często niezły bigos, mam już doświadczenie z Arturkiem.

Więc przeczuwam, że może być wpadka przez Jacka. Ja po takich awanturach jestem nieprzytomna z wściekłości i wtedy bym nas wszystkich... Ale i tak to nie byłoby przeze mnie, tylko przez tego chłopaka. Zawsze przeczuwałam, iż nie znosi mnie od samego początku. Nie lubię go: cudowne dziecko Małpy!

Tego właśnie dnia spóźnił się na francuski o półtorej godziny. T. myślał, że on nie przyjdzie, dlatego usiedliśmy wcześniej do obiadu. Potem Jacek tłumaczył się gęsto, że nie miał odwagi wejść, więc chciał zaczekać pod drzwiami. Nie wiem, na co czekał i co usłyszał.

I stało się coś okropnego: T. w zdenerwowaniu skrzyczał Jacka za spóźnienie. Jacek paskudnie odgryzł się po swojemu, T. po swojemu trzasnął go tak mocno, że się chłopak zatoczył na zlew.. Aż panna Karusia w drugim pokoju słyszała łomot z kuchni.

Domyślałam się, co było później, choć tymczasem zviałam: Jacek był błądy jak ściana i przerażony śmiertelnie, więc T. zaczął go przeproszać, bo sam się go bał – a to przecież najgłupsza z wszelkich taktyk.

T. pocieszał nas potem. „Nic się nie stało, czego się przelekłaś, Zoniu? Mieliśmy normalną lekcję, jakby nigdy nic, i świetnie odpowiadał. On musi znać mores”.

T. wstydzi się swojego wybuchu, bo może być wszystko na niego, z Jego winy. Normalna lekcja! Jakbym nie znała tego postrzelonego Jacka!”

Gdyby mógł przemówić Ten, co prowadzi margines czerwony, niebieski: ...nie, nie znasz Jacka, moja droga.

I ja go nie znam, lecz ja przynajmniej wiem o tym, że nie mogę przeniknąć zamkniętych światów.

Świat, któremu patronuję, mówi sobie „ja”, a nie „my” – ale wbrew pozorom „obiektywnym” i ten świat pojedynczy złożony jest z wielu istot niepodobnych do siebie i w dodatku zmieniających się stale. Mówiłem: są co najmniej trzy; ale czy da się odczytać do końca choć jedną? Czy poznałem ją wtedy, poznam dziś?

Jak dziecko, co przybliży oko do źdźbła trawy i coraz więcej widzi w zielonej łodydze spojeń, żyłek, prześwitów, aż do przeniknięcia w sam środek trawiastości, gdzie już mnogość rojeń nie ma kresu – tak ja plątałem się, płacząc się w siatce osobowości, którą tworzę sam nią będąc; która mnie stworzyła chociaż jest mną.

A ona mówiła: „znam Jacka”!

Nie mogąc określić siebie?

VIII

Określić siebie właśnie na tej Ziemi:

to uchwycić wreszcie swój autoportret ze wspomnień ciągle obecnych, a więc portret z natury. Lecz modelka sama dla siebie jest kapryśna, ruchliwa jak przebiegające przez karton cienie gałęzi i liści.

A może dzięki temu chaosowi, dzięki temu, że wszystko wędruje, pełza, tańczy na wietrze, łatwiej będzie dostrzec to, co nie sposób zauważyć na spokojnym tle: niewyraźną sylwetkę małej dziewczynki, tak przezroczystą, że trudno by nazwać ją czymś poza grą światła i pozorów.

Juta mówi do siebie monotonię, tak przemawiałby chyba sam Bóg, skupiony na wywodzeniu kształtu z nicości (na obraz i podobieństwo swoje...):

– Niech powiedzą, Justyno, niech mówią: „ma bzik”. To oni mają dziurę w pamięci. Twój tatuś, nawet on, twierdzi, że nie było Justyny. On wierzy jedynie w pannę Karusią. A ty? A my? Czyśmy sobie siebie wymyśliły? Ocalam ciebie, ty za to ocal mnie.

Cóż to? Nowy fetysz? Amulet? Będzie swój wizerunek nosiła na sercu?

A może chce, żeby popelniono wreszcie gwałt, żeby rozszyfrowano mistyczną tajemnicę owego amuletu?

– Portret z pamięci? Nonsens. Uczcie się patrzeć.

Dorian wziął rysunek w dwa palce, z obrzydzeniem; odsunął go na odległość wyciągniętego ramienia, przyjrzał się po swojemu, wykrzywiając śmiesznie głowę, jakby była źle przyfastrygowana do karku.

– Co to za antypatyczna dziewczynka? Zabawne: sugestywniej widzisz to, czego nie ma, niż to co jest. Bardziej pracujesz fantazją niż wzrokiem, to przeszkadza w szkicu z natury.

Rzucił karton na ciemny stół, wszyscy pochylili się nad Justyną, wynurzającą się niewyraźnie, niezbyt czysto, z kłębowiska liści.

– Dziecko-żmija – powiedział Dorian z niesmakiem. – Siebie chcesz nastraszyć, czy kogoś innego? My się nie boimy.

Czeladnicy zaczęli się śmiać. Gośka obrzuciła ich wrogim spojrzeniem, przysunęła się ostentacyjnie do Juty.

– Właściwie pomysł dosyć oryginalny – powiedział łagodnie Dorian.

Najwidoczniej lubował się w zmianie tonacji.

– Liście niespodziewanie przechodzą w dziewczynkę, takie przenikanie materii. Ale na mój smak za dużo tu anegdoty, rozumiesz?

Skinęła niepewnie głową – nie wie, o co mu chodzi; nie chciałyby sobie popsuć opinii pojętej uczennicy; wbiła pełne oczekiwania spojrzenie w ruchliwą twarz Doriana, uderzoną w tej chwili ostrą smugą słoneczną, co wdarła się przez obłożone doniczkami pawilonowe okno. Pod niskim pułapem buzowały muchy, ich okrągłe cienie wspinały się gorączkowo po czole i policzkach Małpy, „biegające piegi” – myślała Juta.

– Widzę, że pojmujesz bez pudła – zaśmiał się Dorian. – Mimo to pozwól, że ci wyjaśnię: według mnie jest to, moja droga, całe opowiadanie, historyjka o dziewczynce...

Zawahał się, zastanowił – podczas, gdy jej przebiegło przez głowę: „chce popisać się nieomylną intuicją...”

– O dziewczynce, która jest częścią skwarne go popołudnia... złudzeniem lasu... prawie snem o sobie... innej, złośliwszej, silniejszej... młodszej?

Wielkie łapy zataczały w smudze światła koła dla wyrażenia niematerialnej zwiewności modelu. Juta zapatrzyła się w Doriana z pobożnym lękiem, czekała na wydarcie tajemnicy, pragnęła tego i bała się. Dorian uchwycił jej wzrok, zmieszał się wyraźnie, przerwał w pół zdania, machnął lekceważąco ręką.

– To zresztą dosyć powszechne, że portretujący nadają urojonemu modelowi swoje rysy, troszkę zresztą upiękzone czy odmłodzone, lub – jak tutaj – prawie groźne. To ostatnie dotyczy zwłaszcza zapoznanych wielkości.

Napięcie zelzało, czeladnicy zachichotali, Jacek zrobił zeza z serii „prawie groźnej”.

– Właściwie narcyzm to nie nasza sprawa, nas interesuje światłocień, kreska, mogłabyś nie przesadzać z tym mnożeniem linii, Juta, to po prostu niepewność, poprawianie po sobie, które może przejść w nieudolną manierę. Ćwiczyć, wyzwolić się!

Pokrzykiwał, biegając wokół olbrzymiego stołu, wicherzył przystrzyżoną krótko czuprynę. Małpa na arenie – pomyślała gniewnie Juta. W tejsze chwili spojrział na nią z łobuzerskim porozumieniem, posłał jej najpromienniejszy z uśmiechów, jakimi w nadmiarze dysponował.

A On, w tej swojej księdze:

... Cóż, uśmiechu było ci już wtedy za mało, uśmiech nie jest rekompensatą za poniżanie przy tamtych wyrostkach, za morały i za... za co właściwie?

Ach tak? chciałaś, żeby cię zdemaskował, żeby odebrał ci twoją tajemnicę; zawieszenie wzroku na jego twarzy, bicie serca – wszystko to wyrażało nadzieję na realne niebezpieczeństwo, właśnie Dorian miał stać się współwłaścicielem śmiertelnego sekretu, wykonawcą wyroku; masz do niego żal? Więc marzysz o takim włożeniu w kaloszach w głąb najtajniejszych twoich spraw?

Masz przecież Gośkę – bicz boży: to ona zajęła miejsce Artura, jej ulizane warkocze są warkoczami tamtej z koszmaru, jej opowiadania przesładują cię przed zaśnięciem.

Zagarnęła, związała grzesznymi sekretami – to były wprawdzie tylko piosenki, anegdoty, lecz nie zdobyłabyś się nigdy na ich powtórzenie, chociaż nachodziły cię po całych dniach,

po głębiały odrazę do tej przyjaźni. Pomimo to odrzucałaś myśl o zerwaniu z Goską, łaknęłaś złych rozmów jak owych przedsennych rozmyślań. O mnie jakby zapomniałaś, nie spowiadałaś mi się nawet z nieskromności, za wiele tego widać było, aby nie przymknąć na to oczu...

Bo przecież pamiętałaś o mnie ze strachu o życie, a strach przed wstydem był teraz od tamtego silniejszy, zagłuszał inne lęki, uspokoił cię niemal, nie myślałaś o niebezpieczeństwach. Śmierć łatwo zmienić w zabawę z Justyną – wstyd był konkretny, nie pragnęłaś więc mieć we mnie świadka aż takiego upadku. Nie wzywałaś mnie, choć z pewnością niejednokrotnie nachodziło cię przerażające wspomnienie okrzyku: „A ja po! A ja wiem!” O, nieśczęsna ofiario nieostrożnych powiązań, wiecznie wydawana przez siebie na łup szantażyistów!

Podwójnie przy tym zależna:

uwięziona przez wstyd, uwięziona przez próżność – Gośka trafiła w sedno, deklarując przyjaźń, ba! miłość! Zabiegasz rozpaczliwie o przyobiecane uwielbienie, drżysz i bledniesz na myśl o jego utracie, oczekujesz nowych wyznań, prowokujesz, poniżasz się do błagania o nie, popadasz w niewolnictwo. Milka nigdy nie wyjawiała w ten sposób swoich uczuć, więc może nie była tak przyjazna, tak oddana jak Gośka; może maskowała powściągliwością rzeczywisty chłód?

A ty w owym okresie – zapewne pod wpływem lektur Milki – uznawałaś jedynie NA ZAWSZE i BEZ RESZTY. Postanowiłaś przymusić się do tej nowej namiętności wiekuistej; dręczysz się brakiem uczucia to dla Milki, to dla Marcina, to dla Gośki; robisz sobie wyrzuty, że jesteś niewdzięczna. Poczucie winy każe ci być dla Gośki przesadnie czułą, zaniedbywać Milkę i Marcina, choć w gruncie rzeczy są ci o wiele bardziej bliscy. Cierpisz: tragedie, rozterki, śmiertelnie poważne traktowanie późniejszych Miłości-i-Rozstań – wprowadzie w obrębie płci jednakiej, wprowadzie bez cielesnego pożądania, ale gdzie, w którym momencie masz przekroczyć tę barierę, która oddziela niebezpieczne skłonności podlotka od bezpiecznych impulsów, uświęconych przez dorosłą społeczność? Czy tę barierę zniesie twoja natura czy cudza konwencja?

Zbyt wyłącznie twoim byłem patronem, aby znaleźć na to odpowiedź. Sprzecznosc twoich trzech co najmniej natur krzyżowała mi szyki: kazała egzaltacji ustępować przed zimną kalkulacją, kalkulację zaś podporządkowywała zmysłom. Niełatwo być fetyszem trzynastolatki.

Ale i nie był to czas łatwy dla trzynastolatek,

Po nabożeństwie majowym jest świeżo i wilgotno, cierpką słodyczą zanoszą się brzozy, niżej ściele się słodycz kadzidla: w tych zapachach, pod krzykiem szpaków i słowików, idą obie przez deptak i przejazd kolejowy do stacji. Chichoczą zbyt głośno – każda pewna, że to ona przyciąga spojrzenia chłopaków, którzy (zbici w gromadkę) oglądają się za nimi dwiema, za ich zbiorowym chichotem, anonimową kokieterią, sumaryczną dziewczęcnością. Trzeba udawać, że idzie o co innego, że przyszły tu dla sprawdzenia rozkładu jazdy. Stają przed tablicą, zajeżdża kolejka podmiejska, dodatkowa porcja bezczelnych chłopaków.

– Fater – mówi Gośka.

Grubas z wypchaną teczką wysiada z drugiego wagonu, poddaje spocony policzek cmoknięciu Gośki, która całuje na pokaz, z czułością przesadną; patrzajcie, chłopaki.

– Moja przyjaciółka, Juta Zawadowska. Grubas nie podaje ręki, szczypie Jutę w, podbródek, to obrzydliwe.

– No, no, przyjaciółeczka Juta Zawadowska. Ładnie się nazywasz...

Juta czerwieni się, Gośka spogląda ma nią ze współczuciem, ze zrozumieniem, jakby Jucie poszło o to szczypanie w podbródek.

– Pójdę z tatą, tato.

Później cofa się na chwileczkę, żeby szepnąć Jucie:

– Nie przejmuj się, stary ma zawsze takie idiotyczne żarty...

A to jego zdanie – czy też było tylko idiotycznym żartem?

Juta stoi na brzegu chodnika, tuż nad pobielanym rowem, gdzie młoda trawa. Patrzy za nimi.

W krzyku szpaków, zieleni traw, zapachu brzoź.

Więc ojciec Goški – jak Goška, Jacek, Czarna Sąsiadka...

A jutro może Milka! Jutro może i Dorian, choć obronił ją wtedy przed podejrzeniem Jaka! Jutro może...

Nie! Nie myśleć, wykluczyć ten strach, to on staje się piętnem, przyciąga niebezpieczeństwo. Zapomnieć; zepchnąć nieufność do podświadomości – niech się jedynie śni.

Zabawa. Sen.

Niech śni się nam prawdziwa śmierć, z której się można obudzić.

A to już nie sen ani zabawa, kiedy piasek rzeczywisty i rzeczywista pogoń, i czas zatrzymał się na rzeczywistym DZIŚ i przywraca rzeczywistości WCZORAJ.

Ze snu mogą się zawsze obudzić, zawsze, trzeba tylko zatęsknić do jawy, znaleźć tam oparcie, klucz, słowo – a potem odbić się od koszmaru i...

Zapomniała tego słowa:

wie, że były tam rude a może czarne włosy poprzedniej Kazimiery, potem bardzo maślane warkocze, ogromne oczy – Arturka? Czarnej Sąsiadki? A może to słowo brzmi BÓG? A może to słowo brzmi OJCIEC? Ale tatusia już nie ma, nie będzie nigdy, już nikt nie wyratuje ze snu spokojnym przywoływaniem: „No, Juta, Juteńka...”

A Bóg? Czy jest Mały Bóg, jakich jeszcze chce rachunków?

Jakim słowem, jakim imieniem zażegnać koszmar?

Justyna sądziła, że oparciem będzie Ziemia.

Bo kiedy Okręt zarył się w nabrzeżnym piachu, to nie uratował się nikt oprócz kapitana, on ze wszystkich opresji wychodził cało, więc zostanie szczęśliwym rozbitkiem, nie wie, kiedy nadejdzie ratunek, wcale go nie oczekuje, nie pragnie.

Jaki kształt ma ta wyspa, gdzie człowiek nie wchodzi w drogę człowiekowi? Powinna być najprostsza, ściągnięta z jakiegoś banału, na przykład z liścia klonu, strzępiastego, a przecież regularnego na tyle, ile potrzeba, aby nie czuć się obco, żeby wszystko było prawie znane: klon, dłoń, serce – rzeczy wiadome, ciepłe, różowe.

Okręt rozbił się koło zatoki łodyżki, w półokrągłym wrębie, przy mierzei piaszczystej, gdzie łysa leśna polanka. Lewy kraniec ma pagórkowate wypustki pokryte niską roślinnością, wrzos i macierzanka naśladują górskie mchy i porosty, jałowiec płoży się niby kosodrzewina. Prawy skraj klonowej dłoni, z palcami serdecznym i małym, dźwiga na grzbiecie palmowy gaik z wyłoczonych o wschodzie i zachodzie sosenek. Środkowy zaś – najdalej w ocean wybiegający półwysep Ziemi – jest dżunglą, dziewiczą i nieprzebytą. W samym jej sercu kryje się pozostawione przez wymarły szczep Osuchowskich kamienne palenisko, ołtarz z omszałych i skrwawionych głazów.

Gdzie są te krwią ociekające ofiary, czy Mały Bóg z pierwszej części dwudziestego wieku zadowolony się skrytobójstwem twoich życzeń?

„...Justyno, zdradziłam Twoją tajemnicę, bądź gotowa do ucieczki, czuwaj dniem i nocą, może odkryją Cię jutro, a może dziś jeszcze!

Dorian zażądał malowania farbami wodnymi. Powiedział nam o światłocieniu i plamach barwnych. Mówił o technice. Powtarzał: „technika” – i tak śmiesznie podrzucał za każdym razem dłonią, jakby ważył na niej to słowo. Dał nam farby, naczynka z wodą i strasznie wsią-

kliwy papier. Opryskaliśmy przy tej robocie cały pawilon. Rozumiem teraz, na co mu taki masywny stół. Po prostu łatwo zmywać z niego plamy.

Tematem były liście.

Ten cały Jacek, jak zwykle, porobił gałązki sosnowe z igłami na dwadzieścia chyba centymetrów. To przecież nie liście! Ale Małpa śmiał się i krzyczał: „Rozmach! Brawo!” i targał Jackowi czuprynę. Gocha napaćkała jak na laurce sporo jakichś serduszek, niby to brzozywych. Nasłuchiwała się ostatnio o sztuce nowoczesnej, więc się stara, żeby nic nie było podobne do niczego. A mnie wciąż na myśl przychodził Twój liść klonowy. Stałam tak nad czystym kartonem, bo nie chciałam zdradzić naszej wyspy. Takie zamyślenie napada mnie nad wodą, kiedy pragnęłabym się zachwiać i wpaść do rzeki albo żeby ktoś zepchnął mnie z mostku. No, i wreszcie Dorian zapytał mnie, o co chodzi. Z tym swoim wiecznym uśmiechem, jakby kpł z mnie. Więc odpowiedziałam, zła jak diabli: „Tak, proszę pana, namyślałam się, bo to będzie liść oznaczający coś, taki pomysł, takie znowu przenikanie materii, jak pan mówił”. Bo mówił wtedy, że mam dzikie pomysły, więc niech się głowi.

„Proszę, malarstwo z podszewką” – powiedział, a usta rozciągnął od ucha do ucha. Później nie mówił nic, tylko kręcił głową nad moim klonem. Wymalowałam liść różowobrazowy, z sinym zarysem gór na lewej krawędzi, taki liść – wyspę, na tle bardzo niebieskiego oceanu. „Marzenia, Juta, czy też to wyspa naprawdę?” Więc powiedziałam oczywiście, że istnieje coś takiego. Miałam ochotę popatrzeć na niego wyzywająco. Ma pod nosem rozwiązanie mojej zagadki. Niech się domyśli, jak taki przenikliwy i tyle umiał gadać o Twoim portrecie. Ale napotkałam jego wzrok i zrobiło mi się głupio. I chyba nawet zwiesiłam głowę. Bo on WIEDZIAŁ!

A Gośka wyrwała się szybko w mojej obronie. Wcale jej o to nie prosiłam. „Tak, proszę pana, ja wiem gdzie to jest, Juta ma swoją...” Nie dokończyła zdania, wrzasnęła i zamierzyła się na Jacka. Zdaje się, że pociągnął ją za warkocz. Wszystko odbyło się tak przypadkowo. I jakby od niechcenia Dorian rzucił: „Spokój, weźcie się do roboty, nie jesteśmy ciekawi relacji o sprawach prywatnych”.

Tak chciałabym wiedzieć, co myśli sobie Dorian. I skąd Gośka zna Twoją Ziemię.

I czy Jacek śledził mnie tutaj na polu, gdzie pasie kozy. Może odkrył moje wyprawy i zwierzył się Gośce, a dziś tego żałuje, bo woli być jedynym panem sekretu. Boję się jego nieważności, to podły typ. Przypominam sobie, że Gośka mówiła: „Wiesz, on cię szpieguje”.

W ładną wpakowałam się kabałę. Nie trzeba stawać na mostku i wyczekiwać ani za daleko posuwać się w zabawie! Może ja już mam takie oczy jak T.

Dorian też miał przez chwilę podobne spojrzenie.”

Kazimiera nie czuje lęku, nie czuje wspólnoty.

Tyle dni unosił się słup dymu nad sosnami i skośną ścieżką naprzeciw ich okien, tam właśnie, gdzie powinna być Warszawa – tyle dni, że przestała go zauważać, myśleć o tym. A to płonęli oni, i czasem wydawało się, że swąd przypalonego mięsa dociera aż tutaj, że cała Osada śmierdzi umierającą dzielnicą, której krzyku chyba nikt nie słyszy, słyszeć nie chce.

Więc to było i poza światem Kazimiery, ona nie powinna mieć nic wspólnego z rzeczywistością na co dzień i od święta, z dymem Nalewek i z potańcówkami u Marcina, z rozwalaniem na gliniankach i z kinem, do którego dzień w dzień lata Steńka. Tu Kazimiera – która musiała zerwać z Barbarą – nie potrafiłaby zaprzeczyć Baśce, że tylko świnię siedzą w kinie, że taniec nie jest rozrywką na czas narodowej żałoby; co innego książki, co innego wizyty u pani Micewskiej, w głąb domu ciemnego i starego, gdzie skóra zdarta z foteli odsłania kłęby włosów, gdzie obok wiklinowego stolika piękna serwantka z porcelanowymi cackami, gdzie połyskujące srebrem karabele nad dziurawym kocem, który udaje dywan. Kurz na aksamitnych storach, skisły zapach nie wietrzanej nędzy.

Pani Micewska wyciąga z szafy zakurzony album, nadłamany monogram przekrzywił się na pluszowej okładce – wyciąga i kładzie na poręczu fotela tak uroczyście, że od razu wiadomo, jaka będzie treść tej rozmowy. Strona po stronie wyłania się spod falującego pergaminu: na powierzchnię czarnych kart wypływają pozy nieprawdziwe, oczy wybałuszone w przerażeniu, zęby wyszczerzone konwulsyjnie, papierowe miny. Postukiwanie przezroczystymi palcami o glansowaną powierzchnię: „Michał, nasz syn, jest w niewoli...” „To sprzed wojny, w Rabce...” „A to jak byłam w twoim wieku...” Całkiem ładna dziewczynka, pomimo gładko spiętych włosów i za długiej spódnicy, może nawet ma rumieńce i oczy nie tak jeszcze krótkowzroczne: tylko ten wyraz powagi i smutku, który z wiekiem przejdzie w chroniczne popłakiwanie – czy to sprawa kalectwa, czy też taka musi być i Kazimiera? „Z koleżankami na pensji”. Panienci z dobrych i bardzo dobrych domów, historia Polski na lekcjach robót ręcznych, ciskanie kaloszami w rosyjskiego pedla: „Walczyłyśmy i wtedy”. Pan Micewski na Jasnej Górze. Peleryny „Sokoła”. Kościół: haftowane serwetki i wota. Książd biskup przyjechał na bierzmowanie. Micewscy w kostiumach kąpielowych nad morzem. Michał z drużyną harcerską. Przysięga wojskowa. Boże mój, więc tyle wiedzy i odczytania można zamknąć w tak ciasnej klateczce tradycji! Aż nareszcie spienione cuganty, kulig, na saniach ludzie rozśmiani i swobodni – ale tutaj palce Micewskiej zaczynają postukiwać jeszcze głośniej: „Poseł... Pułkownik... Dziedzic z Kurozwęk, z Utraty, z Woli Rydzewskiej... z...”

Więc między nimi to miejsce dla Zawadowskiej! Tam nie wpuściłoby się byle przybłądy, byle obcej – nawet z sercem pełnym Boga i Ojczyzny; tego samego Boga, tej samej Ojczyzny.

A jeśli nie tam owo miejsce, to na pewno nie w kinie, gdzie tylko świnię, więc dlaczego Kazimiera biegnie tam po raz pierwszy tegoż popołudnia? Czy to nowe umartwienie? Schowana w łoży na końcu ciemnej sali, czuje się podła i wyzwolona zarazem, i już po piętnastu minutach cudownie bawi się głupią przedwojenną komedyjką, jest gdzie indziej, jest kimkolwiek. A jednak wykrada się po zakończeniu ostrożnie, marudzi w bramie wyjściowej, jakby nie była w zgodzie ze sobą i szoku niemal doznaje, kiedy zderza się z panią Micewską.

– Moje dziecko – dyszy tamta. – Czekałam, widziałam, jak wchodziłaś...

Jest w okropnym stanie, dygocze, włosy ma przylepione do spoconych skroni.

– Widzisz... Czy nie mogłabym u was, parę dni? Nie mam już domu... Mój mąż...

– Zabrali ich.

I ze szlochem:

– Musisz znać prawdę: przyszli kanałami z tego piekła... Dwaj chłopcy znajomych. Nie mogłam im odmówić. Nie mogliśmy, rozumiesz?

IX

Po historii z liściem Gośka wydawała się obrażona. Tego dnia wyszła szybciej, nie dała się dogonić, zniknęła w kościelnej kruchcie. Juta poczuła rozkoszny bunt, który wyzwolił ją z niedawnego lęku, napełnił słodyczą lekkomyślną wolności: „Nie pójdę za Gośką, nie pójdę!”

Podśpiewywała w duchu biegnąc znajomym skrótem, nogi same ją niosły przez wysuszoną łączkę posesji niczyjej, w stronę toru, warsztatów kolejowych – w stronę Milki, Marcina, radości. Powietrze pachniało lasem i ogniskiem, to włączyły się nad ziemią, tuż przy ziemi, dymy wypalonych na ugorach i w ogrodach traw. Mżyło leciutko, ale co chwila przeświecało zza mgiełki dymnej i słotnej wspaniałe słońce młodego lata.

– Tutaj nie ma, tutaj nie ma – nuciła Juta. – Gdzie jest wojna... Tutaj nie ma, tutaj nie ma...

Przed warsztatami nie spotkała Marcina, wpadła na niego za kioskiem niespodziewanie; pierwszy raz poczuła gorąco na jego widok. Pomyślała, że spostrzegł jej zmieszanie, szczęściem był z lekka zawiany, właśnie odstawiał na ladę kufel po piwie, przedtem musiał chyba pić biber.

– O, jak Boga mego – powiedział, trochę zbyt wolno i ostrożnie. – Mo-ja-ma-ła-Ju-ta...

Cóż za nieporadna serdeczność osoby niezbyt pewnej swego języka! Juta roześmiała się, a jednak gorąco rozlewało się z wolna po całym ciele, wprawiając ją w lekką panikę. Więc to tak bardzo fizycznie odczuwa się sprawy, o których myślała (myśląc w pierwszej osobie...), że dotyczą wyłącznie ducha, nie materii. Fala gorąca obezwładniła ją; Juta oparła się o płótek przy kiosku, była blisko, za blisko Marcina; nie mogła i nie chciała się odsunąć, naprawiała to słowami, mnóstwem słów.

– Idziesz do Milki, pójdziemy do Milki, Milka na pewno czeka, czemu ty piłeś, nic powinieneś, chodź, dostaniesz kawy, Milka z pewnością... Milka...

Marcin odsunął się, popatrzył jak na sympatyczne zwierzątko, poczuła od niego piwo, to było wstrętne. Oprzytomniała. Oderwała się od płotu, ruszając energicznie przed siebie. Marcin szedł za nią, próbował dotrzymać kroku, żalił się:

– Juta, jak ty mnie... Dlaczego tak zostawiasz... Już mnie wcale nie lubisz? Juta... Byli tuż koło Milki, mżawka ustała zupełnie, żółte stopy powiewały w otwartych oknach. Milka wybiegła przed dom, żeby powstrzymać Marcina, który zdradzał chęć wejścia przez okno, byłoby to niewątpliwie komentowane przez najbliższych sąsiadów pani Salanżyny. Juta wlokła się za Milką i Marcinem przez ciemną i cuchnącą stęchłymi burakami sień, okrutnie pewna jednego: Marcin ZAUWAŻYŁ, zaliczył ją do swojej kolekcji, wiedział z góry, że tak z nią będzie! Poczuła, że poczerwieniały jej uszy; to gorąco nie było już przyjemne – wściekało ją jak zwykle.

Upokorzona, zniechęcona do siebie, zniechęcona do Marcina, zatrzymała się w korytarzyku, w chłodzie wilgotnych płaszczy.

– Milka, ja pójdę do domu. Marcin, rozparty na taborecie naprzeciw lustra, minoderyjny, cedzi z uśmiechem:

– A ja panią nie odprowadzę, do tego domu nie odprowadzę, bo tam jest...

Nie dokończył – Milka cisnęła w niego jaśkiem z różowego atlasu.

...Czarna Sąsiadka! – dopełniła w myśli Juta.

Tylko dlaczego Milka broni Czarnej Sąsiadki?

Nie znałaś jeszcze prawdy o przeszłości Marcina, nie domyślałaś się niczego, wiedziałaś to jedno: zatruto ci wesołość tego popołudnia.

I wtedy właśnie Justyna...

Może raczej:

...wtedy Mały Bóg o twarzy Justyny.

albo:

...mała dziewczynka o znajomej twarzy...

Tak opowiedziano Jucie, kiedy wróciła do domu: tuż przed tobą jakaś mała dziewczynka stanęła na progu sionki i przez uchylone drzwi podała pannie Karusi list: potem skrzypnęła jak zawsze furtka, drobne kroki umilkły w głębi ulicy Gałęźnej; potem panna Karusia krzyknęła cicho, przejmująco, miała zamiar wrzucić list do ognia, odsunęła fajerki; potem...

„Szanowna Pani, już pani będzie wiedziała o kogo się rozchodzi. Ja go kocham i niech się pani całkiem od niego odczepi, bo jak nie, to ja znajdę na panią sposób. ANONIM”.

Nie ma wojny, Juto?

Zatruta wesołość, powiadasz?

A jeżeli coś więcej, dużo gorzej?

Juta myślała:

gdybym powiedziała tatusiowi, że to Justyna, skrzyczałby mnie, ale może przeraziliby się oboje, Karusia stawałaby się coraz to słabsza, aż pewnego dnia wycofałaby się cichutko z nierównej gry. Nikt nie wierzy w koszmar, ale każdy boi się kosmaru – a najbardziej baliby

się tego, co lęgnie się w mojej wyobraźni, uważają mnie za dziecko, za niepoczytalne dziecko. Była jakaś awantura o ten list, gniewają się na siebie, chwila dość sposobna...

Tak myślała, powstrzymywała się jednak przed włączeniem Justyny, przestraszona wspomnieniem oczu tatusia w momentach zagrożenia, oczu już teraz tak smutnych, smutniejszych niż kiedykolwiek.

Więc nie była to jeszcze na dobre sprawa Justyny, choć pasowała do niej jak ulał: do niej i do jej zazdrości o tatę... Nie mogła tego uczynić także Czarna Sąsiadka ani Jacek – rywalizacja z panną Karusią nie miałyby sensu, napisaliby po prostu: „Ty wycieruchu!” albo coś o dobrej Polce.

– Anonim... – zastanawiała się Juta, nie mogła sobie jakoś przypomnieć, zbyt gorliwie wykreśliła tamtą poniżającą rozmowę z pamięci.

A może taka niebezpieczna amnezja bywa karą za grzech obłudy...

Mimo tę niepamięć odważnie stroniła od Gośki, unikała jej nadal, wołała udawać obrażoną po ucieczce Gośki do kościoła.

Trzymała się znowu kojącej Milki, świat poskładany z gazetowych wycinków uspokajał ją, odwoził od rzeczywistości ojca, cioci Zonki, Karusi. Opuściła parę lekcji u Doriany, udawała zaziębną, ale siedziała u Milki, wdychała woń acetonu i pudru – zapach księżniczek i baronów z przedwojennych tygodników pani Salanżyny. W tym domu nie było grozy, był rzeczowy handel szmuglowaną rąbanką i romantyczne oczekiwanie miłości, które z nadmiaru tęsknoty brano za miłość samą. Pani Salanga, namówiona zapewne przez sąsiadów, miała któregoś wieczoru krótką rozmowę w cztery oczy z Marcinem, teraz nie zaglądał tutaj tak często, urwały się potańcówki, tym miłsze było wspomnienie, tym rozkoszniej było czekać.

Jednocześnie z Marcinem opuścili Milkę Steńka i jej Rysiek; napotkani znienacka na ulicy robili tajemnicze miny, Stenia mówiła o Ryśku i Marcinie „nasze chłopaki”, raz wypaplała, że przewoziła broń, ale nie zaproponowała dziewczętom wspólnej zabawy w organizację, chyba nie ufano rozmarzonemu spojrzeniu Milki, a może obawiano się szmuglerskich kontaktów pani Salanżyny?

– Jesteś za młoda na konspirację, dziecino – powtarzała pani Micewska.

A jednak to Kazimierę właśnie wysłała do rodziców Barbary po fałszywe dokumenty, bez tego nie mogła się ruszyć, siedziała zamknięta w pokoju tatusia, nie zbliżała się nawet do okna, „bo tu sami znajomi, sami sąsiedzi...” – mówiła z goryczą. Już nie płakała.

– Potrzebne jej to było! – syczała pani doktorowa. – Dobre serce! Micewski już nie wróci z Pawiaka. Narażać życie dla takich...

Przypomniała sobie o Kazimierze, spurpurowiała.

– A czemuż to nie zaglądasz do Barbary? Ona tyle o tobie mówi, tak ci jest wdzięczna za tamto przeniesienie książki... I ciastek oczywiście.

Teraz Kazimiera czerwienieje.

– Bardzo przepraszam, że paczka była rozdarta... Przewróciłam się i...

Pani doktorowej mała zemsta nie wystarcza.

– Uciekałaś? – mówi, robiąc nienaturalnie wielkie oczy. – A Barbara powiedziała mi, że ten gruby żandarm to chyba twój znajomy!

A przecież nie ów żandarm, do którego trzeba teraz leciutko się uśmiechać przy każdym spotkaniu – nie ów gruby żandarm, ale Czarna Sąsiadka weszła ponownie w koszmary Juty.

Od wczoraj rozpadało się na dobre, krzaki jaśminu za oknem są ciężkie od kropel, ścieżką płynie bura maź, wyłobila brązowy kanion w żółtym piachu, rynna szumi i kipi. Świat ma kolor i woń gnijącej becзки. Juta cieszyła się od rana na myśl o deszczowej kąpieli w drodze do Milki, o spadaniu wilgotnych bryzgów prosto za kołnierz płaszczka, o dotykaniu rozmiękłych sztachet, poczerńiałych pni akacji; o rękach powalanych zielonym nalotem, którego

drzewny zapach jest kwintesencją deszczowego dnia. Później będzie ciepło i jasno, zostawi się mokre palto w korytarzyku, z przykrytego koronkową kapą łoża uśmiechnie się różowa kolombina, atlasowy pierrot.

Nic z tego. Rzeczywistość – której na co dzień Juta nie zauważa – ściąga ją z obłoków na planetę zwaną domem.

A w dodatku trzeba iść TAMTĘDY! Ciotka Zonia leży na polowym łóżku, pogodna jak zwykle, tylko siateczka zmarszczek wokół oczu wydaje się nieco mocniej zasupłana. Nie nawykłe do bezczynności dłonie (kiedyś – dawniej – takie białe i leniwe!) spoczywają na brzuchu, pragnąc przekazać mu niewielkie swoje ciepło.

– Obejdzie się bez doktora, przecież wiem, nie pierwszy raz, to nerki. Ale trzeba by termoforu, Juteńko, a wody nie ma.

Przeprasza za chorobę nieprzewidzianą w porządku dziennym, przeprasza za niewłaściwą prośbę, wstydzi się, że nagle przestała być niezastąpiona, wypadła z wiodącej roli.

– Milka, nie mogę z tobą iść. Ciocia chora. Nie ma nikogo w domu i muszę...

Nasłuchuje przy tym bacznie, czy Micewska nie zdradzi swojej obecności w tamtym pokoju: coś zaszurało, Milka nie zwróciła na to uwagi, chwala Bogu.

Ogrom nieszczęścia: nie to szuranie ważne i nie choroba cioci, lecz tamto okno z pajęczą zazdrostką. Trudno, przepadła ucieczka z domu, popołudnie u Milki, ale jak pogodzić się z przejściem obok oficyny: w pierwszą stronę da się jakoś przebiec szybko, za to w drugą, kiedy wiadro będzie pełne...

– Skoczysz ze mną po wodę?

Milka nie traci czasu, odbiera Jucie wiadro, ze śmiechem uciekają przed deszczem w głąb podwórka, zazdrostka w oficynie porusza się niepokojąco.

– Ty wiesz, kto tam mieszka? – Milka wskazuje głową okno Czarnej. – Donosicielka!

Jutę przenika chłód. Tego jej naprawdę za wiele, choć niby się spodziewała.

– Co? Jak to: donosicielka?

– A tak. Lata do księdza proboszcza, pewnie mu gada na wszystkich: a ten to, a tamta owo. Nie znasz dewotek? Co tak stoisz, pompuj.

– Myślałam, że do Niemców.

– E, cóżeś ty, Juta. Nasze chłopaki by ją wykończyły.

Mówi z dumą posiadaczki, myśli o Marcinie. Szybko porywa napełnione wiadro.

– Zostaw mi to, smarkulo. Chuchro jesteś, wiesz? Przechylona w lewo, zawraca ostro do mieszkania. Juta idzie za nią, zerka po drodze w nieprzyjazne okno.

– Nie, daję słowo! – śmieje się Milka. – Widziałaś? Świętoszka!

Więc to nie złudzenie, skoro – prawie nie patrząc – spostrzegła to samo, co Juta: męską dłoń, zaciśniętą na odsuwanej ukradkiem firance. Wężłastą dłoń Doriana.

– Małpa? – szepcze Juta. – A ja: tyś powiedziała, że Marcin... że ta stara baba to...

Milka odstawiła kubek pod drzwi sieni, kręci karcąco głową.

– Też wymyśliłaś! Dałabyś spokój temu kombinowaniu. Już jak ty coś... Oj, Juta, Juta.

Więc:

nie zastanawiała się dłużej nad wariantami romansów Marcina, zajęła się Dorianem: jakże go nienawidzi, jak strasznie zawiodła się na nim.

Jak to, czyżby ufała mu dotychczas? Może wielbiła nawet, pomimo chęci zlekceważenia długu wdzięczności, mimo sojuszu z głupcami przeciw Małpie... skoro teraz szaleje: Dorian, szlachetny Dorian powiązany z prześladowniczą, wariatką, donosicielką! Dorian i Czarna Sąsiadka!

Nie!

Czarna Sąsiadka i Małpa. Błazeńska Małpa, pośmiewisko własnych czeladników.

Dobrodziejstwo bezpłatnych lekcji staje się nagle podejrzanym, dwuznaczne – tu już przesadzasz, Juto, w spiętrzaniu teatralnej intrygi! Bronił, powiadasz, żeby pozyskać twoje zaufanie, sprowokować do zwierzeń, później wydać Czarnej. Uczył, żeby zaskarbić sobie wdzięczność, zamyslić oczy, stworzyć pozory, że nie on w razie czego będzie winowajcą – szantażu? wspaniały?

Jak to nie pasuje do imienia Dorian. Imię „Dorian”... Odczuwała je, jako coś niezmiernie istotnego, to słowo zawsze wydawało się jej pełne zagadkowej treści. Utraciła, zgubiła – co? Imię? A może było ono pozorem, jak w *Portrecie Doriany Graya*?

Będzie spodziewać się z dnia na dzień rzeczy najgorszych, wróci po nie, żeby wywołać je na lekcjach zadziorną postawą. Ale dni miną bez ataku ze strony Dorian, ten człowiek ma widocznie świętą cierpliwość – aż Juta poczuje, że uległa fascynacji, Dorian włamuje się w jej życie, lekcje stają się utęsknione, jakby miały przynieść wspaniałą odmianę.

I tyle radości wokoło, w powietrzu, ziemi, obłokach; tak się czeka przygody!

Tylko Justyna może poruszać się swobodnie po zapadnięciu nocy, nikt nie zobaczy i nie zaczepi dziewczynki przełazącej sobie jedynie znanymi dziurami w siatkach i parkanach Osady, zresztą wybrała na tę dawno już obmyśloną wyprawę noc naprawdę czarną i tajemniczą.

– Fajna zabawa, wie pani? Strasznie to lubię.

Śmieje się przyciszonym śmieszkiem, nadspodziewanie szybka dziś i zwinna, niemal tańcząca z radości, ogromnie szczęśliwa, że powierzono jej wyprowadzenie z ukrycia pani Micewskiej, która od wczoraj jest panną Józefą Pieróg, ale nie zmieniła się przez to ani trochę i pojękuje żałośnie, przeciskając się przez wąską szparę w ledwie rozsuniętych deskach jakiegoś składziku.

– Moje dziecko, poczekaj, zgubisz mnie! Z czego ty się śmiejesz, doprawdy...

A ona bardziej myśli o przygodzie niż o tej płaczącej starszej pani: jak wspaniale! naprzód, ciągle naprzód, choćby drżało się z podniecenia! Za tamtymi sztachetami jest kraniec Osady, pole Osuchowskich, Ziemia; tam przeczekają do świtu, rano pójdą dalej, piaszczystą drogą do wsi, gdzie nikt nie rozpozna Micewskiej ani tym bardziej Pierożanki, stamtąd już tylko parę kilometrów do stacji w Sędzinie...

– Jutro dam pani spokój.

– Ale czekaj, na miłość boską. Niech odsapnę.

Noc szeroka jak oddech, wiatr płasko przy ziemi, niespokojne mżenie gwiazd, zresztą przed deszczem jest ciepło i zupełnie ciemno, tym głośniejszy krzyk żab i świerszczy, mocniejszy zapach wilgotnego od rosy siana, powiędłych kwiatów polnych, nadwodnych traw.

– Liliowo – mówi Justyna.

– Co takiego?

– Ach, nic. Śpiewam sobie.

Pani Micewska wzdycha ostentacyjnie, nie do śpiewu jej widać, wyciąga drżącą rękę, ostrożnie dotyka ramienia Justyny.

– Co się stało?

– Nie wiem... Dziwna jesteś.

Znowu przyciszony, krótki śmieszek – tego nie da się wytłumaczyć, nie pora zresztą na rozmowę, to jeszcze uliczka Osady, trzeba przeżyć tę ogromną, tajemniczą pustkę, odmienioną przez gwiazdy.

– Chodźmy.

– Oszalałaś, prosto na Meline? Miałyśmy zanocować w krzakach, wzięłaś koc.

– W krzakach, ale u mnie.

– Jak to, na Gałęznej?

Coraz dalej od Gałęźnej, wzdłuż Dorianowego strumyka, później przez kanał po zwalonym drzewie – panią Micewską trzeba popychać, przekonywać, że to szeroka kładka, na szczęście nic nie widać w gęstej ciemności, mało nie wpadły na kratę altany. Wymościli legowisko sośniną, skuliły się w samym kącie; ciepły wiatr rzucił deszczem o dach, ale woda popłynęła skosem przez pokład na przeciwną burtę Okrętu, pachnie tylko i szumi.

– Pierwsza wachta, dzwon.

Micewska okryła ją starannie swoim płaszczem, trwają tak przytulone do siebie w milczeniu – małe psie szczęście, że taki duży i stary świat naokoło.

– Co ty, dziecinko? Czemuż to: u ciebie? Nie poznaję cię...

Noc łagodzi podobieństwa, z pani Micewskiej też został tylko szept i świszczący oddech.

– Człowiek zmienia się, proszę pani – mówi sennie Justyna. – Chyba że jego portret...

Jezus, Maria! – Micewska podrywa się na kolana. – Ten zboczeniec!

I surowo:

– Zmów pacierz:

Ale Justyna leci już bezwładnie na jej ręce, mamrocząc nie bardzo wyraźnie:

– Dobranoc, ciociu. Ciotka jesteś, dobrze?

I nie czuje nawet mokrego od łez pocałunku.

Dorian coraz uparcie wlamywał się w jej sprawy, można by pomyśleć, że ją śledził lub interesował się z jakichś niezwykłych powodów całą jej rodziną, albo wreszcie ulegał wrogim podszeptom Czarnej Sąsiadki.

Spotkała go na polu Osuchowskich, szedł od wyspy ku Osadzie – chyba nie wracał z Ziemi ani od starej wiedźmy? Na widok Juty przystanął, ruchem obronnym przesłonił twarz, jakby przeraził się okropnie – Juta w śmiech, zrozumiała, że ją przedrzeźnia na swój zabawny sposób.

– Czemu mnie śledzisz, tajemnicza osobo?

– Ja... idę tak sobie, ładnie tu. Dorian rozsunął palce, żeby spoza nich zerknąć z udanym przestraczem.

– Bez celu? Żartujesz.

– Nie, serio mówię.

Dorian opuścił ręce, odetchnął głęboko, niby to z ulgą.

– Idę z tobą. Uwielbiam łażenie tak sobie.

Zawrócił, szedł obok niej powolutku, kopiąc kamyczek – jak czeladnicy, jak wszyscy chłopcy Osady. Głowę miał spuszczoną, lecz Juta kątem oka wybadła, że Dorian ją obserwuje, nie mogła pojąć dlaczego. Ułamała gałązkę wierzby, zaczęła ją niespokojnie obgryzać, odzierać zębami z cienkiej, łykowatej kory, było to potwornie gorzkie.

– Aha, koza! – powiedział Dorian, jakby doznał olśnienia. – Już wiem, czemu się przestraszyłem. Piekielnie boję się kóz.

– Taki z pana tchórz?

– A z szanownej pani? Co, panno Kazimiero?

Obzuciła go szybkim spojrzeniem: uśmiechnął się szeroko, nagle rozkołysał się i wskoczył dwoma susami w rozwidlenie wierzbowego pnia, dość wysoko nad strumykiem. Małpa! – pomyślała Juta, żeby nie dopuszczać uczucia podziwu dla jego zręczności; obrywała ze swej gałązki długie, szare liście, puszczała je kolejno na wodę; Dorian siedział na wierzbie, komicznie wymachiwał nogami, sam siebie obracał w żart.

– Znałem Kazimierę – mówił w zamyśleniu sprzecznym z całą tą zabawą. – Jeszcze jedną Kazimierę. Ona już nie żyje, była zbyt odważna, ale może to też jest lęk, nawet najgorszy, największy? Może gdybym jej nie odebrał... gdyby została przy niej matka...

Wyrzucał to z siebie tak, jakby nie miało żadnego związku z Jutą, mimo to zaniepokoiła się, pojęła, że to bolesna sprawa, mocno przeżyta. Do oczu napłynęły jej łzy. Dorian to jakoś wyczuł, urwał w pół słowa, zeskoczył z wierzby, wyłowił ostatni z rzuconych przez Jutę listków.

– Proszę uniżenie! – z małym ukłonem podał jej liść. – Ten wyłowiony listek uratował pani życie. Będzie pani żyła, Kazimiero Dwa. Król umarł, niech żyje król. Pod warunkiem, że nie będzie wynajdywał ciągle nowych lęków. Tak, moja kozo.

Powtórzył gest przerażenia, chrypiąc falsetem:

– Jestem Juta, Uta, Ziuta...

Roześmiała się, niemal że chciała zawołać:

„To pan wie!” Ale on był już daleko, zdjął sandały, zaczął brodzić w płytkim strumyku – a kiedy ruszyła przed siebie, poszedł piaszczystym dnem wzdłuż brzegu.

– Prawdopodobnie się utopię, chociaż bardzo tego nie lubię.

– Na pewno umie pan pływać.

– Nie wiem. Ciekawe, czy małpy umieją pływać? – rzucił złośliwe spojrzenie na Jutę.

Zmieszła się – on wie o przezwisku! Czy wie, że i ona... Ta myśl była nie do zniesienia.

– Jak widzisz, filozofuję nawet w topieli – ciągnął, jak gdyby nigdy nic. – Małpy. Podlotki. Zdumiewa mnie na przykład kliniczny objaw braku poczucia humoru u trzynastolatek. Te ich krańcowe rozpacz, lęki, istna huśtawka, proszę pani. Na szczęście ty jesteś podobno inteligentna?

– Nie wiem – szepnęła w poczuciu winy.

– Inaczej nie poświęciłbym ci i pięciu minut kąpieli w strumyku. Czas na mnie, żegnaj.

Zapiął na mokrych stopach paseczki sandałów, wyprostował się, przyłożył dwa palce do zwichrzonej czupryny.

– Salut myślicielce. Proszę cię, zostań tu zamiast mnie. Czuję, że masz ochotę zastąpić mnie w nadwodnej filozofii. Więc po pierwsze: wszystko płynie.

Odwrócił się i pomaszerował dostojnie w głąb niebieskiego od pogody horyzontu; jeszcze z daleka zawołał:

– Problem drugi: kozy i szympany! Pograżył ją tym ostatecznie, a przecież sprawił cud – nie pomyślała już tego popołudnia o byłej Kazimierze, później dopiero zaczęła zamięczać się podejrzeniami: zabrał matkę tej dziewczynce... ruda Kazimiera ze snu... oczy Sąsiadki... Czarna Sąsiadka, Dorian.

„Justyno Kochana!

Już wiem, jaka ona była. Na pewno podobniejsza do Barbary niż do mnie. Nie przyszłoby jej do głowy wykręcać się sianem z harcerstwa. Widzę ją na zbiórkach, w bluzce wojskowego kroju, z warkoczami związanymi w ósemkę, z gwizdkiem przy ustach. Czy mogła zrezygnować z tego, kiedy trzeba było przejść do podziemnej roboty? Teraz na czym innym polegał honor i ojczyzna. Uczyła się rozbierać pistolety i nosić gazetki na punkt. Umiała na pamięć wiersze patriotyczne, chciała recytować je umierającym powstańcom, nad którymi pochylać się będzie jak anioł. Tymczasem zbierała piątki na tajnych kompletach, mówiła zawsze rzeczy, jakich po niej się spodziewano. Aż postanowiła umrzeć za Sprawę – pięknie, z honorem. Zgłosiła się do akcji i zginęła – na posterunku, oczywiście. Może znaleziono przy niej bibułę, a może rąbnęła jakiegoś szkopa. Chlubnie, z pełną świadomością czynu.

Więc dlaczego moje uczucie do niej dalekie jest od sympatii?

Niedobrze być zazdrosną, kiedy tak wiele dziedziczy się wraz z czyimś imieniem!”

X

Po niewczynie:

zapada się coraz głębiej w piasek – w rozpamiętywanie – w SEN.

Wie teraz prawie na pewno, że to było ostrzeżenie przed Kazimierą – przed Justyną – przed samą sobą.

Bo szukała lęku poza sobą, szukała poza sobą groźby, a trzeba jej było wiedzieć, że lęk był w niej i groźba w niej, a Mały Bóg na ich usługach.

Bała się stracić ojca, jego miłość bardziej niż kiedykolwiek była jej potrzebna, bo rękojmia, bo obietnica przetrwania.

I zgubiła go – czy dlatego?

Zgubiły go wszystkie trzy. Z ich winy.

Ciężar zbrodni podzielony na trzy imiona, na dwa marginesy, na jednego tylko Boga...

Dorian siedział na ganku, obie ręce oparł na poręczy jak na grzbiecie wierzchowca, zapewne czekał tak na dziewczynki dobre pół godziny, a teraz nie spostrzegł już ich nadejścia, odwrócony plecami do ogrodowej bramki, zapatrzony w płataninę fasoli, prześwieconą zachodzącym słońcem.

– Małpa – powiedziała Juta.

Czuła, że musi tak powiedzieć pierwsza, żeby to nie wyszło od Gośki (w której ustach byłoby rzeczywistą obrażą), żeby nie dawało tamtej prawa do podejrzeń, że Juta sprzyja Dorianowi.

– Patrz, jak rycerz – szepnęła Gośka. – Takie oświetlenie z bajki.

Tym razem nie naraziła się na posądzenie, ucieszyło to Jutę, rozbawiło nawet: rycerz Małpa? Roześmiała się i – nie mogąc wytłumaczyć przyczyny śmiechu – trochę zbyt serdecznie powitała Doriana, przepraszając go w myśli za tamten epitet. Dorian zeskoczył z poręczy, ratował pośpiesznie autorytet profesora; złotawy odbłask natychmiast ześliznął się z jego twarzy, pozostał na okrągłym trzcinowym stole werandy, na liściach i wąsach fasoli; nagły półmrok zaostrzył bruzdy koło ust Doriana, uczynił go w jakiś sposób podobnym do tatusia – to te oczy pogłębione cieniem, niezwykle poważne.

– Witam łaskawe panie, co się stało? Gdzie czeladnicy? Już myślałem, że nie będzie lekcji.

Gośka wzdycha, wywraca oczy, rozkłada ręce, nie zapomina ani na chwilę o krygowaniu się: ledwie przedarliśmy się tutaj, a chłopaków nie ma, no, nie ma, widocznie wpadli w samo oko cyklonu, pan o niczym nie wie, panie profesorze? Obława, chyba łapią na roboty, dlatego właśnie my teraz dopiero, to była zresztą świetna zabawa, wpadliśmy na siebie przypadkiem w cudzym ogrodzie, przekradaliśmy się skrótami, Juta zna wszystkie dziury w siatkach i parakanach, dosłownie wszystkie.

Dorian nie wydaje się szczególnie rozbawiony, nie docenia odwagi, która i tak nie kosztowałyby za wiele – Gośka ma fałszywe zaświadczenie o gruźlicy, a Juta, odmłodzona o rok, nie podlega w żadnym wypadku wywiezieniu *zur Arbeit*. Dorian przechodzi nad tym do porządku, jest zdenerwowany, przede wszystkim chciałby wiedzieć, gdzie oni są. Chyba koło kościoła, mówi Gośka, łapanka przesuwa się w tę stronę od toru, po domach nie chodzą, byli tylko u Stępników – ale to sklep – i u Gawryluka, i u Choińskich. Rewidowali? Zapewne.

Dorian uśmiecha się promiennie, jak to on, lecz najwyraźniej myśli o czymś poważnym.

– A tam... A tam gdzie ty mieszkasz, Juta?

Lekko, bez żadnej specjalnej intencji, jakby nie oczekiwał odpowiedzi – aha, to znaczy, że mu właśnie zależy, ale na kim? Na ojcu, na Karusi? Gośka szczypie Jutę, dopatruje się widać spraw sercowych, no tak, przecież ona paplała kiedyś o Dorianie i tej wariacie, jeszcze zanim

Juta dostrzegła go w oknie oficyny. Więc chodzi mu o Czarną! Zrywa się nic porozumienia, Juta oświadcza zimno, że na Gałęznej tamci nie byli, bo idą drugą stroną toru. JESZCZE nie byli...

– Zostaniecie tu do mojego powrotu – rozkazuje Dorian. – Żadnych wędrówek przez dziury i krzaki, teraz ja odpowiadam za was, nie pozwolę na głupią brawurę.

Omija wzrokiem Jutę.

– A pan?

– A ja?

Z roztargnieniem:

– Ja na chwilę. Za chwilę. Poczekaście. Skoczył do pokoju, poszperał, wyszedł, zapinając w biegu wyszmelcowaną wiatrówkę, leci do bramki na tyłach ogrodu.

– Gazetki – cieszy się Gocha. – Albo spluwa. Jak nie wróci za godzinę, znaczy, że wpadł i rozwał go albo na Pawiak. Może razem z tym babskiem?

Przyjemnie podniecona, zaróżowiona, prawie ładna. Siada na trzciniowym taborecie, rozplata i splata warkocze, patrząc na włosy pod słońce.

– Małpa, Małpa, wracaj! – modli się gorączkowo Juta.

Nienawidzi Goški: jak mogła wmawiać w siebie, że to przyjaźń, że to niemal jak miłość!

Słońce czerwienieje nad wysokimi kasztanami, już pachnie pierwsza maciejka – jakim prawem, jak śmie! Dlaczego i w takiej chwili ludzi bezpieczeństwem, przetrwaniem świat nasturcji, świat wilgotniejących pod wieczór rzodkiewkowych naci?

„Nie powinnaś udawać przede mną, że nie masz z tym nic wspólnego. Podejrzewałam cię już o anonim. Karusia opisała wiernie małą dziewczynkę, która zniknęła w mroku. Wierzę, że poprzestałaś tym razem na pogróżkach, bo w dniu obławy ominęli nas. A panna Karusia miała właśnie przy sobie bibułę. Naraziłabyś zresztą innych: T., ciocię Zonkę, Doriana... W każdym razie proszę, żebyś w przyszłości nie uciekała się do takich sposobów. Ty nie rozumiesz, co to jest okupacja, pochodzenie, gestapo, śmierć. Nie wiesz także, co to odpowiedzialność zbiorowa. Ja wiem. Ja nie skazałabym ludzi za to, że jeden z nich komuś zawinił. Albo że nikomu nie zawinił żaden z nich.

Więc nie Ty, więc kto inny nasłał na Osadę. Rewidowali według swoich adresów, trzy osoby wywieźli na Szucha, sporo wzięli z ulicy na roboty.

Czarnej Sąsiadki nie zabrali. Łazi, jak gdyby nigdy nic. A może dała się rewidować dla pozorów, bo sama sypnęła? Po takiej fałszywej dewocicy spodziewałabym się wszystkiego. Żal mi trochę Małpy, że jej ufa. Widać zakochany sprzed wojny... Szczęściem coś w oficynie spostrzegł z daleka i wpadł do nas, a nie tam. T. przetrzymał Doriana u nas, aż skończyła się rewizja u Czarnej, aż poszli sobie. T. zachwycony Dorianem. Czemu go nazywacie Małpą? A bo to taka Małpa i już.

Panna Karusia cały ten czas siedziała jak na rozżarzonych węglach. Mówi, że ukrywała gazetkę pod piętą, w buciku. Nie można idiotyczniej! Tyle miała czasu na wrzucenie tego do pieca w kuchni. Ale chodzi w takiej glorii, że i dla mnie łaskawsza. Gocha powiedziała, że Dorian też był nadziany amunicją czy czymś tam. Głupia. Przecież nie leciałby prosto w łapankę. Raczej poszedł zabrać coś od Czarnej. Czarna i tak dała sobie radę.

Ja też mogłabym być bohaterką, gdybym była wtedy w domu. Na przykład: Dorian wchodzi do Czarnej, a ja widzę, że wał tam szkopy. Więc daję znaki pod oknem oficyny. Dorian widzi mnie, zanim tamci załomotali do drzwi. Wyskakuje w ostatniej chwili przez okienko – takie małe, umieszczone wysoko na tyłach oficyny, nad śmietnikiem. Ja już tam podpełzłam przez pokrzywy, całe ręce w bąblach, ale to nic. Dorian zeskakuje ze śmietnika, pędzimy do nas. Nie, przecież w ogrodzie są żandarmi! Musimy przeleźć przez płot i pobiec podwórzami za Osadę. Będzie jak z panią Micewską: Dorian zamieszka u Ciebie, tylko że na dłużej. Przyносzę mu po kryjomu obiady od cioci Zonki. Tymczasem Czarna próbuje mnie śledzić. Pa-

trzy coraz podejrzliwiej. Pewnego dnia zatrzymuje mnie w półmroku przy furtce i – nie wiem co dalej. Zbyt mnie przeraża myśl o takim spotkaniu.

Zagalopowałam się: na co mi właściwie Dorian? Chyba, że Ty chciałabyś mieć go dla siebie? Stęskniłaś się za ojcem. Ja też tęsknię za naszym dawnym T. To nic, pewnego dnia wywalczymy go.”

...A co na to ja, Mały Bóg, okrakiem na chmurze, z księgą rachunkową w pamięci? Czy nie wypomnę ci, że sama korzystałaś z dobrodziejstw odpowiedzialności zbiorowej w przypadku Artura? Że marzyłaś o niej w przypadku panny Karusi? Gośki? uśmiechniętego zandarma?

Ale tamto – to sprawy sekretne między tobą w trzech osobach a mną o trzech obliczach; nie uprawniałaś kogoś poza nami, kto naraz wmieszał się do gry; czy rzeczywiście nie uprawniałaś?

Ten list pokazała ci Milka:

„Najdroższy!

Nigdy Ci tego nie powiedziałam, lecz napisać mam odwagę. Kocham Cię. Obraz Twój w sercu mym noszę. Marzę o tym, by zostać Twą żoną. Czy zechcesz mnie poślubić? Zerwałeś z innymi, ale nie wiem czy dla mnie. Chodziliśmy ze sobą, a Ty wciąż milczałeś, Jedyny. I ja nie odważyłabym się przemówić, gdybym nie była pewna, że nie domyślisz się wcale, kto ubóstwia Cię nad! życie. Całuję Twe oczy, Książę mój wymarzony! ANONIM”.

Niesmak, wściekłość, wstyd. Żal do siebie: po co jej wtedy poddałam ten pomysł, ja nie chciałam, ja nie sądziłam.

Ach, jak bezczelnie kłamiesz sobie, Juto. Powiedz Milce, powiedz Marcinowi: to Gośka za moją namową, uległam jej, żeby popsuć wam wszystko, ośmieszyć Milkę, osamotnić Marcina, może koić go w tym osamotnieniu, może was godzić, zaskarbić sobie tym waszą wdzięczność, pogłębić przyjaźń, zwrócić uwagę Marcina na siebie, sama zresztą nie wiem...

Milczysz. Gładzisz przyjaciółkę po złotych włosach zaklętej królowny.

– Milka, Milka, to nic takiego, nie martw się.

– To świństwo! Będzie się ze mnie nabijał. Umyślnie tak napisane, żeby sam odgadł. On myśli... On mi to dał z takim uśmiezkiem, jakbym to naprawdę ja...

– Bzdury, nic takiego o tobie nie myślał. Ty jesteś inna. Ty byś nigdy w życiu, on wie.

Milka siąka nosem, uspokaja się, zerka w swoje tremo, nie jest jej ładnie z opuchniętymi oczami.

– No, powiedz kto? KTO?

Milczysz, to milczenie jest modlitwą: żeby coś, żeby coś takiego, co mnie uwolni od ciężaru współwiny!

Śmiało, tylko tak dalej! Usunąć kogoś? Marcina, Gośkę? Przecież Mały Bóg ślubował posłuszeństwo trójmodlitewkom i pobożnym życzeniom; zaraz na malowanym obłoku zjedzie Osoba Epilogu; słyszysz chóry niebiańskie?

To zapewne Opatrzność przychyła się do twojej niewyraźnej prośby, spoglądając na ciebie złośliwymi krążkami oczu pierrotta z atlasowego łoża pani Salanżyny.

Milka wbiega do ich mieszkania jeszcze bledsza niż zwykle, mówi z jeszcze większym wysiłkiem:

– Marcin... Juta, Marcin... Juta chwyciła ją za rękę, wciąga do pokoju, zamyka drzwi.

– Zabrali go?

– Nie... Szukali. Byli u niego, ale on... Nawet o tym nie wie, trzeba go uprzedzić. Czy jest... czy jest tu ta twoja panna Karusia?

– Nie, nie ma – ale dlaczego Milka pyta o nią, nigdy o Karusi nie mówiły, Juta woli ten temat omijać, a tu nagle bez powodu...

– Gdzie ona może być? – szepcze Milka. – Nie wiesz? Nic nie wiesz?

Załamuje ręce w dramatycznym geście, opada na wypatroszony fotel cioci Zonki, kryje twarz w dłoniach, złota fala włosów ciężko przecieka przez jej palce o paznokciach lekko oskrobanych z lakieru; tak być powinno. Juta zerka ukradkiem w lustro skośnie zawieszone obok pieca, nie, ona nie umie cierpieć tak pięknie, widzi swój świecący nos, czerwone uszy – stropiła ją świadomość popełnionej zbrodni. Chciała niezwykłego rozwiązania, błagała Małgo Boga o uwolnienie od ciężaru, a on, zamiast zniszczyć Gochę, spalić tę bezwstydnicę nagłym piorunem...

– Gośka... – jęczy Milka. Piorun spada, ale na Jutę. Juta staje w płomieniach.

– Co ty wygadujesz, Milka!

– Ta twoja przyjaciółka.

– Jaka przyjaciółka! – protestuje Juta, znowu protestuje, gotowa i tym razem uwierzyć, że jej oburzenie jest prawdziwe.

– Ona kochała się w Marcinie, latała za nim, może się u niej ukrywa?

Gośka! W Marcinie! Więc tylko Juta – jak zaślepiona małżonka – nic o tym nie wiedziała, dopiero ten anonim...

– Bujasz!

– Słowo daję. I ten anonim był od niej.

W sam raz do niej pasują takie podle pomysły.

Teraz Juta kryje twarz w dłoniach, żeby nie pokazywać Milce zdradliwych rumieńców. Na dworze rozszalał się wichur, wrzuca raptownie tuman piachu do pokoju, Milka w ostatniej chwili biegnie ratować zatrzaskujące się okno, robi się niemal czarno.

– Burza. Nie możemy teraz iść.

Milka:

– Coś ty, ja bym i tak do niej nie poszła. To już taka najgorsza, ostatnia, no, wiesz.

Nad ścieżką podnosi się naraz piaskowy lej, w suchym wirze krążą oszalałe liście, gałązki akacji, później liście bzu; ktoś biegnie, oślepiiony, wzdłuż płotu.

– To ona?

– Kto, Gośka? Ona tu do mnie nie przychodzi, my przecież od dawna... Milka przerywa:

– Nie, nie. Ja o panie Karusi. Napotyka zdziwione spojrzenie Juty, tłumaczy się:

– No, nie chcę, żeby mnie ktoś tutaj... Wiesz, ja i Marcin. Zawsze bezpieczniej dla ciebie, żebyśmy nie spotykały się jakiś czas.

Nagle obie czują potrzebę działania, wspomnienie konspiracji wpływa ożywczo, zaczynają rzucać się bez większego sensu po izbie, mówią jednocześnie: ostrzec, tak, gdzie, może Steńkę, Ryśka, tę wiadomość o Marcinie przyniosła pani Salanżyna od Stępników, znaleźć go, Marcin nie powinien, Marcin, Marcin. Radość narasta w sercu Juty – nareszcie zatarł się tamten koszmar, nareszcie dzieje się coś wielkiego. Połączona została z Milką i Marcinem jedną SPRAWĄ, jest w rdzeniu tragedii, nie zanadto narażona, wtajemniczona, bohaterska. Radość pod pozorem troski, zabawa w podziemie – wspaniała, ogromna przygoda uczuć.

XI

O, cudowna przygodo konspiracji, przygodo, która pozwala oswajać sobie najstraszliwsze kosmary! Kazimiera nie tylko wyrzeka się kina – nawet wówczas, kiedy idą przedwojenne komedie; Kazimiera ćwiczy hart ducha, umyślnie przechodząc na tę stronę Rynku, po której jest żandarmeria: uśmiecha się zimno do grubego, chce pokonać strach, który ją poniża. Kazimiera wyrabia sobie siłę woli: uśmiechnę się wbrew nienawiści, oszukam go, tym łatwiej będzie kiedyś zwabić go w pułapkę, oddać w ręce naszych. Czy będę zdolna do takiej podło-

ści, do takiego bohaterstwa? O, tak, Kazimiera rozkoszuje się myślą o zemście, deklamuje w duszy: odwet... odwet...

Na przykład tak:

– *Guten Morgen, Fraulein* – powie gruby.

Jak wtedy, za cenę ciastka z różowym kremem.

Tylko że tym razem Barbara nie będzie górą. Barbara wyciągnie stena i strzeli. Albo lepiej: wpakuje mu w brzuch serię ze spluwy, to brzmi dostatecznie mściwie. Ona będzie tą, która zamorduje; Kazimiera odwróci oczy, zasłoni uszy; nie, odejdzie ZANIM to się stanie – jej robota musi być czysta i bezkrwawa, dług niechęci spleciony wytwornie, choć nie bardzo *fair*. Kazimiera nawet nie usiłuje sobie zbyt dokładnie wyobrażać tego, co – mimo wszystko – splami Barbarę. Wystarczy piękno słowa „odwet”.

Ale gruby ani myśli umierać, stoi właśnie przy kiosku z piwem, rozpiął mundurowy kołnierz, jest chyba po służbie – promienieje dobroduszną radością, jakby nie miał pojęcia gdzie się znajduje, w jakiej roli. *Lieber Augustin* po dobrze spełnionym obowiązku.

– *Halt! Du, verfluchter...*

To dzieje się błyskawicznie: gruby odbija się od kiosku jak wielka piłka, dopada płotu składnicy kolejowej; rudy chłopczyna nie próbuje obrony, pozwala przewlec się przez dziurę w zmurszałym parkanie. Jest bosy i usmolony po białka oczu, najwidoczniej kradł węgiel z niemieckiego wagonu, za takie rzeczy... Kazimiera zamyka oczy. Kiedy je otwiera, widzi scenkę nieprawdopodobną: chłopaczek stoi przy kiosku, gruby żandarm trzyma go za rudą czuprynę, drugą ręką podaje lizak na patyku, dobry wujaszek. Kazimiera wyobraża sobie wewnątrz przytulnego domostwa, haftowane ręczniki, dywaniczki, asparagusy, fikusy, opasłą żandarmową z wianuszkami rudych żandarmiątek: *Mahlzeit! Mahlzeit!* On jest inny, jak ci nie wstyd... O, *mein lieber Augustin...*

Wrzask. Chłopczyna odtrąca dziko lizak, wbija zęby w ojcowską dłoń grubego, daje drapak; żandarm wyrывa pistolet z kabury, ale między nim a chłopakiem jest Kazimiera i jej bohaterski uśmiech i nawet:

– *Guten Tag...*

Ledwo dosłyszalnie, zbielełymi ustami.

On, osłupiał:

– *Morgen, Fraulein...*

Jeszcze chwilę patrzy za nią z uśmiechem, który powoli wypływa na tłuste policzki; pocziwiec...

Szedł za nią w sporej odległości, chwilami umyślnie pozostając w tyle, podejrzewała z początku, że to Jacek, ale ten ktoś był niższy, nie tak potargany, sprawdziła to, obserwując podbiegający do jej stóp cień prześladowcy. Przeraziła się, serce zaczęło jej łomotać, postanowiła krążyć po alejkach Osady, później zgubić go w cudzym ogrodzie, w labiryncie komórek, siatek, drewnianych przybudówek. Po namyśle zmieniła zamiar, wmieszała się w tłum, wciąż napływający do kościoła, chociaż nabożeństwo już się zaczęło. Milki i Steni na zewnątrz nie było, pewnie zdołały wcisnąć się do bocznej kaplicy, pod obraz opuchłonożej świętej.

Zatrzymała się na cmentarzu przykościelnym, pod rozchwianą brzozą; zaraz też ujrzała u nóg ten drugi cień. Znowu ostry trzepot serca: teraz on zajrzy jej w twarz, rozpozna ją, oskarży znaczącym szeptem, przypomni adres krakowski, imię Justyny. Nie – dotyka jej ręki. Jutta przejęta dreszczem cofa dłoń, spostrzega wtedy, że odtrąciła (podaną widać przez niego) papierową kuleczkę. Pokuszenie diabelskie na dziedzińcu kościoła: Jutta zakrywa kulę czubkiem sandałka; dzwonią drobnutko, trzykrotnie, potem dłuższą falą. Jutta osuwa się na kolana, pochyla głowę, bije się w piersi, jeszcze dzwoneczki i jeszcze. Wstając podejmuje z ziemi kraj sukienki w taki sposób, że podnosi zarazem i ów tajemniczy liścik, wsuwa do modlitewnika obok Najświętszej Panienki od pierwszej komunii, rozprostowuje, wygładza. Rózo du-

chowna... Wieżo Dawidowa... „Juteczko”... Więc to od Marcina! Wieżo z kości słoniowej... „Chcę pomówić z Tobą... dzisiaj o ósmej...” Módl się za nami... „Koło budki dróżnika. Marcin”... Marcin!

Z Jutą! Nie z Milką, ani z Goską, ani... Jej ufa, tylko jej. „Juteczko”... Ukrywa się gdzieś za torem, obok dróżnika, na tym pustkowiu. Nagle zrozumiała, krew, uderza do głowy: kto mieszka na pustkowiu obok dróżnika? Ona! Tatusine słoneczko, Karusia – to o tym mówił pierwszy anonim Goški, stąd awantura z tatą, jego niechęć do Marcina. Dlatego Małgocha napisała do Karusi: nie tatusia przecież chciała jej wydrzeć, lecz Marcina! I dlatego nie masz zamiaru widzieć się z Milką, zdrajco!

Dzwoneczki znów każą klękać, o Boże spraw, żeby to było bardzo piękne, to nasze ostatnie spotkanie, usuń ten niesmak, zostaw tylko cudowne wspomnienie, tylko, na zawsze.

Kiedy dobiegła do toru, nie ściemniało się jeszcze, to były najdłuższe dni w roku, pobłękitniało zaledwie, Juta poczuła ni przypiął, ni przyłatał ten przyptyw niespodziewany, który górnolotnie nazywała natchnieniem – powinnam wrócić do domu i namalować zmierzch... Nie, to byłaby ucieczka. Tym razem najważniejsze będzie zwycięstwo w tej scenie, wspaniały epilog marzeń o Marcinie – przeczuwała: odegra to spotkanie w najpiękniejszej tonacji błękitnej, nieco wzniośle, trochę nieobecnie, tak, żeby zapamiętał, ZAPAMIĘTAŁ. „Nim jedno z nas...” – i wiedziała, że to on odejdzie pierwszy i już go opłakiwała, pewna w gruncie rzeczy swojej nieśmiertelności, obmyślała jego śmierć i ostatnie jego westchnienie „Juta!” – niewinna estetka; morderczyni dla puenty.

Marcin zobaczył z daleka szczupłą, wyrośniętą dziewczynkę o ruchach niezdarnych i szorstkich, zbliżała się nieśmiało, gotowa w każdej chwili do ucieczki.

– Juteńka, to przecież ja. Wyciągnęła sztywno rękę.

– Cześć.

Roześmiał się, chwycił obie jej dłonie, zakręcił z nią drobną kaszkę, szarpnęła się niezręcznie, wyrwała.

– Coś taka oficjalna? Nie cieszysz się, że mnie jeszcze widzisz?

Znowu ten przeklęty rumieniec, jest błękitnawo, Marcin nie mógł dostrzec jej zmieszania – a jednak stał się odrobinę zaczepny, nieznośnie pewny siebie wobec dziewczyny o ładnych parę lat młodszej i z pewnością nim oczarowanej.

– No, Juta, pogniewam się.

Oho, ton kapryśnego kobieciątka, z kokieterią w tym stylu zwraca się do Milki, do Goški zapewne, do... Co on sobie myśli? Że mnie zaliczać można do kolekcji? Trzeba go zaskoczyć, zagrać inteligentniej niż tamte, żadnych krygowań się, chichotów – powaga i ciepła rzeczowość.

– Marcin – zmobilizowała się, nadała głosowi brzmienie ciepłe i poważne. – Marcin, co można dla ciebie zrobić? Ja bym wszystko, wiesz, wszystko.

Cudownie się to udało – niby męska przyjaźń, a przecież temperatura o stopień za wysoka, ledwie zauważalne drżenie głosu, przejście w końcu niemal do szeptu, Juta z upojeniem odkrywa w sobie szalone możliwości aktorskie.

Marcin poważnie, teraz wreszcie podejrzewa to, co chciała mu zasugerować, to stanowi gwarancję wymarzonej tonacji błękitnej, gwarancję atmosfery nierealnej, którą powinien zapamiętać na długo.

– Juta, nie gniewaj się – mówi. – Ja wiem, że ty jesteś wspaniała dziewczyna. Powiedziałem ci, że tylko z taką jak ty. Inne to mięta, pięć minut, nic.

Ciepła radość przenika Jutę, uszlachetnia ją nagle, każe myśleć (o perfidio dziewczęca!) o szczęściu Milki, o wyrzeczeniu, o wszystkich wspaniałych uczuciach, jakie sobie niegdyś obiecywała. I natychmiast rachunek, z ostatecznym wynikiem dodatnim: muszę zapamiętać samą siebie w tej scenie jako istotę idealną, on musi mnie tak zapamiętać, zresztą wszystko inne byłoby kłopotem, mam jeszcze na tamto czas...

– ...Z taką jak ty, słyszysz?

Przerywa mu wreszcie:

– Milka niespokojna – mówi surowo.

Czy jesteś pewien, że musisz zniknąć?

Marcin – jak skarcony uczeń:

– No, muszę. Właśnie dlatego mój brat dał ci karteczkę. Nie mogę narażać Milki, może jest pod obserwacją, widywano nas tak często razem. Zresztą, widzisz, nie powinna wiedzieć... Chodzi o tę historię...

– Z Karusią! Wiem, ty u niej teraz...

Marcin przerywa spieszenie.

– Z Małgoczą.

– Z Gośką? – Jutę przenika wstręt. Marcin zapala papierosa, ręce mu drżą, ma nieduże pulchne dłonie; Juta czuje od niego zapach alkoholu, co za obrzydliwy nałóg.

– Tego, widzisz, bratu nie zwierzę, ani Milce, bo zazdrosna... Ani tym bardziej pannie... nieważne. Ale tobie, tobie co innego.

– Mnie! – przyływ dumy. Myśli: żebyś wiedział, kochany, miłość ci wszystko...

– Uważaj, może Gośkę też mają na oku? Ale nie, to głupia heca, nie trwała długo. Oddasz jej tysiąc dwieście złotych i powiesz... pamiętaj, Juteńka! Że za tydzień przyślę resztę. Tego nie mogę pisać, ale ty jesteś taktowna...

Juta zaczyna drzeć, jakby naraz powiało chłodem.

– Co to za... Coś ty zrobił, Marcin? Coś ty...

Zrozumiałaby chyba sama, ale nie chce, nie będzie mieszać Marcina z TYMI sprawami, zapewne pożyczyl, tylko czemu od tej plotkary, szantażystki, lepkiej, obrzydliwej przyjaciółki-od-serca?

Rozpłakała się. Przeraziła Marcina, objął ją tak jakoś zwyczajnie, niezgrabnie, ale od tego dotyku zrobiło się Jucie gorąco, od razu przebaczyła, zapomniała, przestała nawet spekulować. Skończył się wielki teatr, jest mała, zasmarkana dziewczynka, ogromnie wdzięczna za to, że jej tak dobrze w objęciach drugiego człowieka.

Chwila – i sygnał: ostrożnie, śmieszność! Juta wysuwa się z objęć, tym razem łagodnie, przypadkiem niby, żeby przytrzymać beret, ześlizgujący się z głowy.

– Jutro nawiewam – szepcze Marcin przez niespodzianą chrypkę. – Pa, mała. Kiedy my się zobaczymy?

– Za rok – postanawia Juta ze stanowczością fantazjującego dziecka. – Dokładnie za rok, w tym miejscu, o tej porze.

Potem figlarnie:

– I z Milką. Nie powiem jej o Gośce, nie bój się. Ani GDZIE się ukrywałeś...

– Wiem – mówi Marcin. – Jesteś najmorowsza dziewczyna, jaką znam. Wiesz, Juta, ty dla mnie... To znaczy ja...

– Za rok – przerywa Juta. – Pamiętaj, Marcin. Marcin...

Nie kończy. Odwraca się, ucieka. Płacze. Trochę naprawdę, trochę dla niego. Z bólu, ze szczęścia. Zwyciężyła: on zapamięta.

U Gośki nie była od wielu dni. Bicie serca: jak po tym wszystkim – po tamtych anonimach zwłaszcza – powiedzieć zwyczajnie dzień dobry?

Idzie przez duży, zdziczały ogród, nie widzi go prawie, nie czuje zapachu mięty i pokrzyw, rozparzonego, zmieszanego z mdłym smrodem kartofli dla kur. Powłóczy nogami, nie będzie miała chyba siły zapukać do tamtych drzwi: wyskoczy stamtąd ojciec Gośki, uszczyplnie w podbródek – „Ładnie się nazywasz” – albo wybiegnie sama Gośka z ordynarnym wyzywaniem. Ale to przecież dla Marcina, obiecałam! I tyle teraz wiem o Gośce, do takich mam prawo posądzeń, że będę patrzyła z góry na tamtą, w gruncie rzeczy upokorzoną, właściwie już niegroźną...

Spostrzega teraz, że brała strach za nienawiść, że panując nad Goską nie potrafi jej nienawidzić, nie musi. Układa sobie skrętnie i mozolnie pierwsze słowa pogardy, od samych drzwi, i całą późniejszą rozmowę.

Jest oczywiście inaczej.

Na końcu ogrodu, w gęstwinie chwastów pod samym domem, stado białych kur, truchtem wybiega spośród nich nie uwiązany kogut. Juta poznaje zwichrzony kołnierz Jacka, kogut podskakuje i rzuca się na jej nogi z wyraźnym zamiarem wbicia ostróg w nie osłonięte łydki. Juta wrzeszczy, ogania się bez nadziei, z kurnika wypada ubielona od stóp do głów Małgocha, chwyta koguta, odpędza go z całym gdaczącym stadem. Krzyczy przez chwilę: „Jacek! Jaaceek!” – teraz gdzieś na pięterku otwiera się okno, zaspany malec woła: „No co? Idę!”, więc zaczynają śmiać się obydwie.

To jest prawie pojednanie – trzeba zwyczajnie powiedzieć „dzień dobry” i „ja do ciebie od Marcina”. Gośka blednie, obejrzała się na dom, szybko prowadzi Jutę na kurzą klatkę, rzuconą pod łuszczący się pień akacji. Jest miła, zbyt miła, jak to Gośka. Nie pyta o Marcina, tylko z miejsca:

– Mówił coś o mnie?

– Nie. Ale dał to. Przelicz, tysiąc dwieście.

Gośka zasłania pieniądze skrajem ubielonego kitla, zgarnia je do kieszonki, upycha starannie, żeby nie wystawały, nie kłuły niczyich oczu.

– Nic nie mówił? Bo to na specjalne cele, składka. Nie powiesz nikomu, prawda. Nie chcę, żeby rodzice... Oni mają pietra, ci handlarze.

– Nic nie mówił – cedzi pogardliwie Juta. – Tyle że wyjeżdża na zawsze. Dziś rano.

– Wiem, do lasu – chęłpi się Gocha, na pewno guzik o nim wie. – Ty masz pojęcie, po co on kombinował z tą Milką? Żeby odwrócić uwagę ode mnie, od całej akcji. Takie mydlenie oczu.

Juta kwituje wyznanie uśmiechem, bierze je niby za dobrą monetę – domyśla się, że to rozpaczliwa obrona jakiejś takiej godności. Bo gdyby tak było naprawdę, czemu służyłyby owe idiotyczne anonimy? Nie warto wdawać się w sprzeczkę. Przewaga, cudowne uczucie litości.

– Muszę iść.

Gośka skwapliwie odprowadza ją przez pagóry, porośnięte mleczem i piołunem, do wyważonej z zawiasów bramy. Po drodze odgania Jacka, płoszy kury, robi mnóstwo zamieszania. Przy samej furtce dopiero odważa się raz jeszcze:

– Juta, ty coś wiesz, ja widzę. On zatrzymał się do dzisiaj u niej, prawda? U tej Karusi za torem?

Juta nie odpowiada, przyrzekła, że nie powie – wzrusza jedynie ramionami, to nie jest zaprzeczenie. Stoją teraz, patrzą w ziemię, w szary piach koło wyłamanej furty; dwie oszukane przez mężów stare baby: tak, tak, moja pani, tak w życiu bywa z chłopami, każdej się przydarzy.

– Ona mnie popamięta – mówi cicho Gośka.

Nie ja to powiedziałam! Nie ja! – myśli Juta na swoją nędzną obronę.

„...Na pewno żyje, Justyno, oddała mi swoje imię tylko po to, żeby w pewnym momencie znaleźć mnie i szantażować. Ona i jej ojciec są zwykłymi łobuzami. Sprzedali stare dokumenty, ale ogłosili, że im skradziono: „Antoni Z. i Kazimiera Z. proszą uczciwego znalazcę o zwrot świadectw za nagrodą...” Kto by tam czytał ogłoszenia o zgubach? Tymczasem wyrobili sobie papiery i przyczaili się, a teraz są na naszym tropie.

W jakiś dzień powszedni wracam do domu, siedzi dwóch drabów. „Wiemy, kim jesteście. Nie wypierajcie się, bo zaprowadzimy na żandarmerię”. Usiłują być za grzeczni. Jeden z nich to Antoni Z., drugi jego szwagier. Antoni – albo szwagier – bierze mnie za podbródek, więc

robię naiwne oczy. „To ty jesteś Kazia?” „Tak. Nie. Ja jestem Juta”. Szwagier czy Antoni przygląda mi się ze zdumieniem, już nie tak pewny jak przed chwilą. Ja nic nie rozumiem, więc prostuję szybko: „Juta od Kazimierzy, proszę pana, takie zdrobnienie”. Uśmiecha się triumfalnie, to znaczy, że popełniłam błąd. „Od Kazimierzy Z., co? To nie twoje nazwisko, my wiemy najlepiej”. My – to kto? Kim oni są? „My znamy prawdziwą Kazimierę Z. My znamy prawdziwego Antoniego Z., taki drobny, mały”. Powiedział to, żeby odwrócić podejrzenie od siebie, bo to chłop na schwał. Już jestem pewna, że to on. „Kupiliście metryki od złodziei. O, tu jest ogłoszenie”. Kłamstwo, dała nam organizacja, ale tego im nie powiemy i tak. „A, brzydko, gdyby Szwabry wiedzieli...” Szwabry! Niby dobrzy Polacy, a przecież sami by tamtym donieśli, żeby nie okup. Najwyższy na jaki stać T. Ciocia Zonka miała jeszcze złotą obrączkę. T. w krawacie szpilkę z perełką. Oni są ciągle uprzejmi, jak umieją. Żegnają się. Wychodzą, tłukąc mocno w podłogę tymi wysokimi buciorami (nazywają to „długie buty”, do tego skórzana kurtka...) – ja do końca udaję kretynkę. Teraz chciałabym pobiec za nimi, śledzić. T. zatrzymuje mnie. „Zabraniam, co ci z tego przyjdzie, i tak szuje są mocniejsze...” W kuchni powiedzieli coś na odchodnym pannie Karusi, cała w pasach. Domyślam się: „Że też nie wstyd pani z takim!”. Dowcipnisie! Przynajmniej raz jestem po jej stronie. T. siedzi ogłupiały, patrzy w kąt sufitu, na pająka. Pająk wieczorem – szczęście: raz jeszcze ocaleni. Trzeba pakować się, wiać o zmierzchu, starać się o nowe imiona, nazwiska – Kazimiera Z. żyje...

Nie śmiej się, Justyno, tak może być pewnego dnia. Przecież ja wciąż nie wiem, kim była, a może jest. Bo ja nią tylko BYWAM.”

A on, który widział wszystko, czy nie śmiał się do rozpuku niebios?

Czy nie okłaskiwał cię z wysokości maszynerii nad sceną:

Brawo, jaka teatralna fantazja, jaki splot intrygi! Nie trzeba przecież wcale Antoniego i szwagra, wystarczy jedno baczne spojrzenie w podmiejskiej kolejce lub na uliczce Osady, wystarczy jakiś podlec z Krakowa lub czyjaś niechęć do cezarejskich profilów. Lecz ty – gdyby doszło do katastrofy – obarczysz tym Kazimierę, żeby nie posadzać Goški, której nie potępiłaś w porę za nienawiść do Karusi; żeby nie posadzać samej siebie...

I w ten sposób będziesz miała czyste sumienie wobec Małego Boga.

Rozgrzeszać, wiecznie rozgrzeszać! To właśnie upoważnia cię do popełniania błędów, do ich powtarzania. Dzięki odpustowi możesz nienawidzić i zazdrościć, przeklinać i życzyć śmierci, przytulać się mocno do wygrzanego siennika, opowiadać sobie plugawe historyjki, oskarżać Kazimierę poprzednią... Twoje bóstwo to nie tylko osłona, lecz i zaporą dymna. Nieprzezroczyście mydliny.

Więc dobrze, nich będzie, rozgrzeszam. Więc dobrze, Artur zabity. Więc dobrze, Małgocha upokorzona i porzucona. Więc dobrze, Marcin w porę usunięty. Więc dobrze, Czarna Sąsiadka. Więc Jacek... Karusia...

Tym razem nie udało się uciec, panna Karusia zastała swoją rywalkę w domu, jeszcze w łóżku, Juta odwróciła się na drugi bok, nie powie: „dzień dobry – śpię, widzisz?” Tamta nie przeniknęła tej gry, jest – jak na złość – w doskonałym humorze: „Co, jeszcze gnijesz? Wstawaj, no już, taki piękny dzień”. I nuci coś głośno, fałszywie – afiszuje się z pogodą ducha, rozkoszniczka.

Piękny, przepiękny, jak dla kogo, dla mnie nie, wiem o pani wszystko, mogłabym powiedzieć tatusiowi, proszę mnie nie zaczepiać, gryzę!

Panna Karusia nic nie pojmuję, nie nauczy się nigdy czytać w cudzych myślach, nie zna stanu duszy podlotka, nawet jeśli ma w podlotku rywalkę. Zatręła Jucie całe niewątpliwe piękno tego poranka. Niech sobie spadnie deszcz, niech lunie, opluje ze szczętem napełnione czystym niebem szyby, niech się zanieśie pluchą na amen. Co taki dzień wart, szkoda wstać, choćby ona ściągnęła kołdrę, ZWŁASZCZA gdyby ściągnęła kołdrę. Zapach jej moc-

nych, zbyt mocnych, za bardzo konwaliowych perfum tuż koło nosa Juty; Juta zaciska powieki. NIEE! Wpada z drugiego pokoju tatuś: co to za krzyki? „Nic, nic” – mówi stropiona Karusia. – „Takie żarty.” „Wcale nie żarty, proszę mi dać spokój, nie wsta...” Ryk taty: „Wstawaj w tej chwili, rozumiesz?”

Ojcu trzeba ustąpić, wyskoczyć z łóżka, zwać do kuchni; w nagłym przypiływie wstydu Juta ucieka z kołdrą na grzbiecie.

– Gdzie lecis, chodź tu natychmiast słyszysz?

– Muszę się umyć przecie... – płacząc, ona niewinna, wszyscy na nią, zawsze tak.

Szoruje się umyślnie głośno, umyślnie długo, aż ciotka półgłosem: „Coś ty dzisiaj taka czysta?” Ciotka uśmiecha się, wie, o co idzie. Niewiele znaczy zbyt poczciwy sprzymierzeniec, więc – zamiast odpowiedzi – ciurkanie wylewanej do kubelka wody, ciocia kiwa z politowaniem głową, nie zwraca uwagi na zalaną bardziej niż zazwyczaj podłogę, ta Karusia wszystkim nieźle działa na nerwy.

– Śmierdzi – krzywi się Juta.

– Masz teraz wyrażonka! Nie musisz jeść, tatuś to lubi.

Ciocia Zonka, schludna, w niebieskim fartuszkach, wyklada smażony ser na talerz w duże kwiaty, starannie, apetycznie, w hołdzie zapadającej się nieodwracalnie JEJ cywilizacji.

– Zanieś.

– Sam dojdzie: były robaki, widziałam.

– Przestań, wysmażyły się. Taka jesteś grymaśna, jakby to nie trwało od trzech z górą lat.

– Dobra, dobra, podam jej te glisty. A muchomory wkrajałaś?

Spojrzały sobie z ciotką w oczy, śmieją się cicho, świetny humor przywrócony, porozumienie usposabia je przychylnie wobec Karusi.

Lecz poranne zawieszenie broni nie może dojść do skutku, z kolei nastroszyła się panna Karusia, ma widocznie żal do Juty o rozbicie słonecznego nastroju. Z życzliwością starszej siostry:

– Bo gdybyś wstawiała wcześniej, to miałabyś lepszą cerę, popatrz na mnie. Ohydne te twoje pryszcze. I tak w tym wieku się brzydnie, a jeszcze i to...

Juta robi się zielona, stawia talerz na stole tak, że gruby fajans rozpryskuje się na drobne kawałki, cuchnący ser spływa falami woni poprzez kraciasty obrus na plisowaną spódniczkę panny Karusi; na klęskę makowej czerwieni.

– Ja tego nie chciałam – mówi Juta, przerażona teraz na dobre. – Ja tego nie chciałam!

Stało się, nie odnajdziesz go nigdy. Nie przeprosisz, nie zjednasz.

Zostało puste miejsce jak brak oddechu, jak piasek zasypujący otwarte usta.

Sądziłaś, że pustkę zapełnia się czymkolwiek: Milkami, Goškami, Marcinami. Nie zapełni jej nawet satysfakcja po kilku dobrze zagranych scenkach, po ostatecznym epilogu. Została tylko pamięć tłustych warkoczy Goški, pachnących nadgniętymi deskami kurnika; zostało nie więcej niż wspomnienie rybich oczu pierrota, uśmiechniętej gęby opasłego żandarma. Czczość, żal, próżnia.

Piasek. To właśnie jest piasek.

I żuki, chociaż tak piękne, próżno gramolą się w górę, w górę.

Justyna (nadeszła wreszcie pora Justyny): grubo po godzinie policyjnej wychodzi z wnętrza Okrętu, z czarnej dziury pod gnijącym pokładem.

Jest noc, znieruchomiały gwiazdy, puch dmuchawców kładzie się na cichym powietrzu i ptaki zamierają – to wiosna skłania się ku latu.

Przez tak zakrzepłą ciemność łatwo sunąć bezszelestnie, śpiewać milcząco, bezgłośnie podskakiwać to na jednej to na drugiej nodze. Małej dziewczynce opadają skarpetki, mała dziewczynka podciąga skarpetki, znowu biegnie, wprawiając w, zamęt puch ostromlecza.

Przepowiada sobie w myśli słowa ostatniego listu: „Jesteś mi potrzebna, musisz przyjść, udowodnić, że jesteś. Wybierz dzień i godzinę”.

Ojciec sam wybrał dzień i godzinę.

– Gdzie zniknęły moje koperty, Juta?

Ulicą idzie patrol, słysząc mocny rytm podkutych butów.

Mała dziewczynka ze spokojną ciekawością patrzy na sylwetki żandarmów, pochyla się, poprawia skarpetkę, patrol przechodzi obok niej, prawie się o nią ociera. „Na, na, ja, ja!” – przedrzeźnia dziewczynka.

– Juta, ty używałaś moich kopert? Do czego?

Tatuś rozpiął kołnierzyk białej koszuli, jest gorąco, trzeba uchylić okna, światło zgasić, bo odsunie się nieco zaciemnienie.

– Do czego, pytam? Bądź łaskawa...

– Do listów, tatusiu.

Wionęło nocą, przez lufcik wpadł pył dmuchawca, musnął twarz ojca, tatuś otrząsa się.

– Do listów! Więc dalej piszesz te brednie do...

– Do kogo, tatusiu?

– Do siebie. Do niej. Do tej wymyślonej. Mała dziewczynka staje pod oknem na grządce pachnącej maciejką („liliowo!"), wilgotne od rosy kwiatki dotykają chudych łydek dziecka, sandały zapadają się lekko w spulchnioną ziemię, jutro odcisnięte będą ślady nikłe i drobne. Teraz tylko wyciągnąć rączkę, dać znak.

Trzykrotne stukanie w ciemnościach gęstych od maciejki.

– Co to? – szepce tatuś. Juta zadaje cios:

– Nic, nic, to Justyna. Nie pamiętasz, naprawdę?

XII

Nie wpuściła tam ani Milki, ani jej hrabianek i księżąt, choć z Milką także była zabawa – w konspirację. Postanowiły spotykać się z rzadka i potajemnie, Milka często powtarzała, że jest zagrożona przez ukrywanie się Marcina, miewała jakieś nikłe wieści, przynieszone przez równie tajemniczą Stenię. Juta wymyśliła miejsce schadzek niedaleko, ale nie na samej wyspie: cmentarz za drewniakiem Osuchówki. Nigdy tutaj jeszcze nie była, nie ciągnęło jej na cmentarze, rodzina zalegała mogiły zbiorowe, wspólne doły – poza mamą, która zdążyła umrzeć w Krakowie i została zwyczajnie pochowana. Juta, edukowana świecko i pogodnie, nie zbliżała się do miejsc smutnych i nie bardzo dla niej zrozumiałych, skoro śmierć była daleką podróżą albo nazbyt bliską salwą na gliniankach...

Kiedy zaniedbana alejka wiodła ją między krzewy czarne i posępne, Juta doznała olśnienia: więc to tak, spokojnie, pośród bujnych ptaków i tłustej wilgoci, w zapachu nagrzanego próchnicy lub chłodnego mchu, w jaskrawym błękitcie barwinku? I znów: tęsknota podobna do radości i głodu zarazem, przyjemne uczucie smutku z rozciągniętą głoską „u”: SMUUUTEK... *Sturm und Drang Periode* – powtarza ciocia Zonka. – „Przejdzie, przejdzie, ja natomiast mam uderzenia krwi do głowy. Widzisz, takie jesteśmy: początek i koniec kobiecości”... Biedna ciocia z czerwieniejącą nagle twarzą, skurczonym jabłuszkiem – skurczone jabłuszko, przekrojone na krzyż... Nie, to inaczej, ale wystarczy, żeby parsknąć śmiechem prosto w nagrobne tablice i krzyże; Juta pozoruje płacz dla ewentualnych przechodniów, pada na kolana obok jakiegoś kopczyka, wstrząsana histerycznym śmiechem (ciągle to jabłuszko!); z jednej ostateczności w drugą; kryje twarz w dłoniach. Kiedy je wreszcie odejmuje, spostrzega zniszczony, na wpół zatarty napis: „...era... owska”. Era... owska... zmarła 25 mar... jej świetlanej duszyczki”. Duszyczki – więc to dziecko, dziewczynka. Era... Kazimiera? Zawadowska? Serce Juty wali jak oszalałe: to ja! to ona! więc tutaj, tak blisko, obok Ziemi, obok...

W każdej chwili może ktoś przeczytać, zrekonstruować, pojąć. Zaraz przyjdzie Milka, trzeba ją odciągnąć, odwrócić uwagę, nie, lepiej zatrzeć ślady.

Zrywa się na równe nogi, rozgląda gorączkowo, chwyta ostry kamyk, zaczyna szlifować nie zatarte jeszcze resztki napisu na poziomej płycie, modli się przy tym (zapomniała, że nie czyniła tego już od dawna): „Boże, mój Mały Boże, to świętokradztwo, ale pomóż mi, Ty wiesz najlepiej, że ja muszę!”

Kamyk jest narzędziem ułomnym, Juta wydziera pazurami garście ziemi próchniczej i rozlazłej, próbuje wlepić glinę w zagłębienie liter, zasypać płytę igliwem i gałązkami świerków. Przegrywa: właśnie w chwili gdy pragnie zapobiec podejrzeniu, słyszy najstraszliwszy, najbardziej śmiercionośny epitet:

– Żydówka!

I jeszcze:

– Żydówka! Hiena! Won! Won od mojej...

Boże, jeśli Milka jest w pobliżu!... Stara Osuchowska trzęsie nad Jutą sękatymi rękami, za chwilę rzuci się do oczu, do włosów, zacznie szarpać, tłuc na oślep; Juta uskakuje za nagrobek, trzeba uciekać, nogi skamieniały jak we śnie, drżą febrycznie, nie postąpią ni kroku.

– Ja... Ja nie jestem...

Nie, tak nie powie, obrona nic nie da. Znowu straceńczy atak, wymuszony na samej sobie, efekciarski nawet w tej ostateczności:

– Stara wiedźma, niech się pani zamknie, dobrze? Katoliczka, a nie da uporządkować, krzyża ułożyć. Sama żydówka, jak dba o groby, proszę!

Krzyża ułożyć! Skąd jej się wziął taki bzdurny pomysł?

Osuchowskiej latają te sękaty ręce, głowa się trzęsie, aż z pospinanej szpilkami ósemki uwolniły się niechlujne warkoczyki. Starucha zbiera się wreszcie, mówi powoli:

– Powiedz tym głupim dewotkom, że sama się za nią modłę. Sama, po swojemu, chociaż olejów świętych nie było. Ksiądz cię nasłał, co? Sama, po swojemu... No, poszła precz, ty...

Patrzy za Jutą, mamle coś bezzębnyimi ustami, przykleka, pochyla okryte podartą chustą plecy. Juta podgląda ją przez chwilę, potem ucieka dalej i dalej, opiera się w końcu o pień brzozy, odpoczywa, stara się zrozumieć: więc to jej córka? Osuchowska? Kazimiera? A może jednak...

– Kazimierooo! – szept zza jakiegoś krzyża.

Uroczyście, przenikliwie:

– Ka-zi-mie-ro-o-o-...

Juta truchleje.

– Niemądra, flądra! – rechocze zza krzaków Jacek. – Duchów się boi, duchów! 'Robinson duchów się boi!

Robinson? Więc chodził za nią na wyspę, śledził, podsłuchiwał!

Już nie czeka na Milkę, nie ogląda się na Jacka, idzie szybciej, coraz szybciej, biegnie bez tchu, do domu, przecież jest dom, JEST DOM!

A jeśli przed furką czeka Czarna Sąsiadka? Jeśli powie: zrozumiałam wszystko, tę nie adresowaną kopertę, te listy do nikąd, ten dziwny skrót imienia...

I naraz przypomina sobie: gdzieś na cmentarzu zgubiła list do Justyny.

„...Więc pragniesz zemścić się na mnie, bo nie wybaczyłaś mi, że wybrałam Kazimierę? A przecież znalazłam dla Ciebie Ziemię, wyprowadziłam Twój Okręt na mieliznę. Nie wystarczy Ci zabawa w Robinsona, ani własny ołtarz z naszym własnym Bogiem. Może Ty znasz dziecinne jego oblicze, o wiele okrutniejsze? Lubiłaś kiedyś myśleć o krwi, o zbrodniach. Chyba sama bawisz się w złego bożka. Czujesz się kimś innym ode mnie, ale pamiętaj, że zabijanie mnie, to zabicie nas obu jednocześnie. Szkoda, że nie dorostałaś jeszcze do strachu

przed własną śmiercią. Narazasz się bez lęku, co Cię to kosztuje. Miałaś przyjść z pomocą przeciw Karusi, bo ona zabrała T. – ale to wszystko! Nie wolno Ci z rozpędu gubić złośliwie i jego, i Ciebie, i mnie!”

– Majaczy...

Nic podobnego. Gorąco, odrzućcie koldrę.

Nigdy nie majacze, zawsze myślę, MYŚLĘ.

Spekuluję, obliczam. Trzy równa się jeden, jeden w górze równa się...

Nie! Nie chcę widzieć nikogo, nie wpuszczajcie tu nawet Milki. Ja śpię, we śnie mogłabym się wygadać – że jestem – że nie jestem – że. Strasznie łatwo wygadać się we śnie: Boję się spać, nie chcę.

– Juta, przecież to pan doktor. Wiem, po co ta informacja, uważacie mnie za nieprzytomną, bardzo dobrze, mogę mówić, co mi się podoba, będą myśleli, że bredzę, a ja myślę, my-ślę. Oni, szeptem:

– Wykluczam. Opony wykluczam, raczej zapalenie ucha, przeziębła się.

– U-cha- tralala, zawiąło mnie jak czasami ciocię, zaraz spuchnę, przekłuwanie głowy i puchnięcie, nie będę spać, bo jak tylko zasnę, to przykryją mnie gazetą, już na mnie szeleści, odrzućcie gazetę, nie będę.

– Juta, spokojnie, zastrzyk.

Wiem: majaczy się wtedy, kiedy się chce, to wcale nie przymus, pijak też udaje pijanego, bredzę na zawołanie, po prostu wyobraźnia, rozważanie trzech możliwości: Juty, Justyny, Kazimiery. Chociaż Kazimiera umarła.

– Na co? Na co ja umarłam?

– Juta, Juteńka...

– Tatusiu, ja wiem, jestem Kazimiera. Justyna umarła.

– To środek nasenny, śpij.

Śpij? A przekłuwanie? Wchodzi Justyna, odsuwa tatusia od łóżka, znów udaje, że jej nie zna, co on robi, ta mała się zemści, nakłuje mi głowę, już wyciąga z krawata ojca tę szpilkę z perełką, wbija we mnie, spuchnę, powoli nos, ucho, gło-wa-o-grom-nie-je pu-chnę-ra-tu!"

Tatuś nachyla się nade mną, szpilka drży w jego krawacie.

– Justyna. Zabije. Mnie.

Jakoś głupio tak stękam.

Oczy tatusia przerażone, bardzo biedne, na to nie ma rady, niedobrze mieć takie oczy, to przyciąga nieszczęście, po co go ta Justyna...

Zachichotała, wzruszyła ramionami, odeszła od łóżka, wlaźła na parapet – mój zwyczaj – robi to zrećźnie, jest lekka, hop! zostawi drobniuteńkie ślady na grządkach.

– Kto otworzył okno? – gniewa się ojciec. – Zonka, przestań wietrzyć, widzisz, że ona ma dreszcze.

Czeka tuż przy furtce, nie widzisz jej dobrze w zapadającym zmierzchu, ale wiesz, że to ona, Czarna Sąsiadka. Trzeba przejść koło niej, otrzeć się o jej wyrudziały płaszcz – nie, ona nie przepuści tak po prostu, chwyci niezawodnie za rękę, już, teraz w tej chwili.

Drobna dłoń spada na twoje ramię.

– Czego pani chce, proszę mnie puścić, ja...

– Cicho! – syczy tamta. – Ciszej... Oni tam byli, może są jeszcze. Czekałam na ciebie, pójdziesz ze mną, tylko ostrożnie.

– Dokąd? Jacy ONI? Nigdzie nie pójde, niech pani...

I olśnienie: przyszli po ciebie, po tatusia, zabierają ojca, ciocię Zonkę, jedynie ty cudem jakimś...

Nie wierzysz, nie chcesz, nie możesz uwierzyć, to nie miało wydarzyć się nigdy, jest przecież Mały Bóg do dyspozycji. I kto ich nasłał, któż by doniósł, jeżeli Czarna czeka tutaj w mroku, jeśli ostrzega, narażała się, naraża.

– Proszę pani! Tatuś! Ja tam pójde, sprawdzę, ja...

Czarna szarpie cię gwałtownie, wlecze za sobą jak nieposłusznego szczeniaka, aż – pół-przytomna – zaczynasz płakać głośno.

I teraz, dopiero teraz przyjdzie czas na ten przeczuty dawno policzek, raczej niezdarny szturchaniec w głowę, widocznie Czarna Sasiadka doprowadzona jest do ostateczności. Ale to skutkuje: z cichszym już pochlipywaniem biegniesz tuż przed nią, dajesz się wepchnąć do mieszkania w oficynie, tej oficynie, której tak unikałaś. Płaczesz – nad sobą, nad zdradą tatuś, nad krzywdą, jaką tylekroć wyrządzałaś w myślach Czarnej Sasiadce.

Tamta popycha cię lekko na fotel, nie zapala światła, zaciąga story, siedzicie tak obie w zupełnych ciemnościach, w obcym zapachu nie wietrzonego pokoju, nasłuchujące, napięte do ostatnich granic. A ciebie ogarnia coś w rodzaju radosnego podniecenia, zapewne przyspieszone bicie serca wywołuje takie emocje: szczęknięcie zębami, drżenie, nastrój wielkiej przygody na śmierć i życie.

– Ja muszę tam iść, muszę zobaczyć – szepczesz bez ustanku, już nie tak zdecydowanie, wolisz być tutaj uwięziona. – Oni nie mogą zabrać ich beze mnie, ja chcę być z tatusiem, z tatusiem...

– Pomódl się – rzuca surowo Czarna. – Nie jesteś dzieckiem, powinnaś zrozumieć, że to już nie zabawa w przeszeptki. Nie bądź tchórzem.

To straszne: nie móc być tchórzem! W domu wszyscy pozwalali, rozgrzeszali z tego; „No, Juta, Juteńka...” Czy wie o twoich zabawach, czy tylko tak powiedziała? Jest obca, ma w sobie coś odpychającego, zupełny brak czułości, tatusinych i ciotczyńskich łez na poczekaniu. A jednak to ona ciebie uratowała, należy jej się wdzięczność, trochę ciepła, jak się odwdzięczyć... Czujesz zupełną pustkę w głowie i na to miejsce z nawyku wsuwa się trójmodlitewka, wiązka siana do zatkania dziury w myśleniu.

„Niech tak się nie stanie, niech tak się nie stanie, niech tak się nie...”

Zapewne powiedziałyby:

...dawno, dawno nie odwoływałaś się do mnie z takim oddaniem.

Nie obawiasz się, że zapomniałem zupełnie o twoim istnieniu? Groziłoby to z kolei zapomnieniem siebie, miałyby dla nas obojga nieodwracalne konsekwencje. Mniejsza o mnie – ale co uczyniłaś, utraciwszy mnie, gwarancję twojej ciągłości, bezpiecznego trwania? Może straciłaś cały rozpęd, przywiązanie do kolorów – zapachów – radości – i rzeczywiście oddała się z rezygnacją w ich ręce? Albo nabrałaś wreszcie straceńczej odwagi, rzuciła się na wrogów i zginęła? W obu wypadkach – mimo odmiennego sensu – rezultat byłby identyczny...

Nie ma obawy, nie utraciłaś mnie, za dobrze umiesz rachować: strach umieściłaś w moim bezpośrednim sąsiedztwie, wystarczy chwila grozy, aby mechanizm zaczął działać. Hop, wyskakuje trójmodlitewka – hop, wyłaniam się z chmurki, aby powstać w twoim imieniu (czy raczej imionach) i gromić nieprzyjacioły twoje. Wierzysz, iż w zamian za tę ufność wybaczę ci godziny, dni, tygodnie lekceważenia. Wiara mi pochlebia – przekreśliłam DEBET, robię co mogę, mogę jedynie ciebie uspokoić na moment. To mało. To wiele.

Przepadło – sama widzisz z czyjej winy. Zachłannie go kochałaś, aż nie zostało po nim nic; już nigdy.

– Nie wiadomo: może zwolnią, to był zwykły przypadek...

Głupi przypadek, nikt zresztą nie wie dokładnie, jak to było: mówią, że tamci od godziny szukali tłumacza, któryś wreszcie przypomniał sobie o tatusiu – zapewne gruby żandarm;

przyszli pod wieczór, załomotali do drzwi kuchni, ojciec widział ich przez okno i bez sensu zaczął uciekać tylnym wyjściem (dawniej frontowym, teraz nigdy nie używanym, wychodzącym na ogród). Zauważyli go, chwycili i dopiero zaczęli wypytywać, odjechali dopiero po godzinie policyjnej; nawet jeśli zaczęło się od przypadku, to skończyło niemylnie – oni nie lubią się mylić. Uśmiech grubego żandarma, ugłaskanego wujaszka...

Dziś od świtu mieszkanie zamknięte na głucho – nie ma taty, cioci Zonki, panny Karusi... Więc Karusia skończyła jak bohaterka! To niesprawiedliwość, wszystko jest niesprawiedliwe, czemu nie wzięli Juty, przecież to jej sprawka, że ojciec miał takie oczy, że sam się zdradził! Juta widzi, jak podprowadza ich pod drzwi kuchenne mała dziewczynka o niewinnych oczach i beztróskim uśmiechu, na jej widok tata nie wytrzymuje i... Nie! nie wolno tak myśleć, to zbyt potworne, chyba że takie myślenie i myślenie, takie dorabianie koszmaru także jest ratunkiem.

Czarna Sąsiadka zamyka za sobą drzwi na rygiel, torbę z kartoflami rzuca na kuchenkę; warzywa zalatują ziemią, piwnicą, z marchwi sypie się piach – zwyczajne znane zapachy i kolory, jakże tutaj wierzyć w koszmar!

– Stróż zaglądał przez okno – mówi od niechcienia Sąsiadka. – Nawet był, jak się zdrzemnął. Wszedł do sieni, uspokajał, że to nie o mnie idzie.

– Tylko o nas! – myśli z goryczą Juta. – TYLKO. Zapowietrzeni, drobiazg. Kiedy tu był? Zdawało mi się, że nie spałam ani chwili.

To niecisłe, właściwie cały czas ma wrażenie, że śpi, ogarnięta bezwolnością, zobojętnieniem. Uczucia, myśli zamknęły się, zabarykadowały, próżnują, jakby to wszystko nie jej dotyczyło. Ślimak ukrył się wewnątrz skorupki, ocala wrażliwość rożków.

– Tak mi przykro – mówi, pozornie bez sensu. – Tak mi przykro, ja pójdę, ja poszukam, poszukam tatusia i...

Wybucho płaczem, dopiero teraz dopuszcza do świadomości grozę sytuacji – ucieka się do litości nad sobą, wcale nie wiedząc o tym wtula głowę w nienawistny płaszcz, nie przeszkadza jej naftalina i olej rzepakowy, te zapachy stają się dla niej czymś dobrym, przyjaznym. Czarna Sąsiadka najwidoczniej też się wzruszyła, lecz usiłuje być rzeczowa:

– Zostaniesz u mnie, na razie, szukamy czegoś pewnego dalej od tego domu, stróż to łobuz, może umieścimy cię w Warszawie.

Szukamy? Z kim? A prawda, ona i Dorian!

I naraz jedyną istotą bliską wydaje się Jucie Dorian, pragnęłyby go zobaczyć, nie śmie pytać, nie wie jak.

– Dostaniesz nowe papiery, idę natychmiast po śniadaniu, zostaniesz tu, będziesz siedziała jak myszka.

Głos zadrzał jej niebezpiecznie, oczy zaszyły mgłą, wygląda niesamowicie jak dawniej, Juta przypomina sobie słowa Gołki: „Co ona robi z tymi dziewczynkami?” Ze wstrętem stara się o tym zapomnieć, nienawidzi siebie za paskudne podejrzenia, dosyć nałykała się wstydu przez nazywanie Czarnej wariatką.

– Jak myszka! Wiem, to bardzo trudno, moja córeczka chwilki by nie usiedziała cicho, taka ruda trajkotka. Żywa była jak iskra. I bardzo, bardzo dzielna.

Milczenie. Juta odważa się, tak będzie lepiej.

– Co z nią było?

– Co? No, wojna, wojna... Nie byłam wtedy przy niej, ja już dawno...

Wzrusza ramionami, kręci głową, jakby sama tym zdziwiona, wciąż jeszcze zdziwiona śmiercią córeczki. Uśmiecha się po swojemu, nieprzytomnie – do garnka, w którym nastawia zalewajkę.

Jucie bije serce.

– Jak miała na imię?

Czarna Sąsiadka lekko, aby zbyć.

– Kazimiera. Kaja.

XIII

Tutaj, teraz wiesz:

to nie ona wepchnęła cię do tego dołu, a jednak...

Jeśli piasek zasypie cię żywcem, zagipsuje usta, to na pewno dlatego, że TY jesteś Kazimierą, a Kazimiera właśnie pełna takiego piachu albo ciężkiej, lepkiej gliny, jak w dołach za torem. Bo skoro ona, ta co umarła „na wojnę”, miała to imię, skoro wspominał o niej – niby przypadkiem – Dorian... Dlaczego Czarna Sąsiadka nie powiedziała więcej, czemu nie wymieniła nazwiska, swego pierwszego, sprzed rozvodu? Nie ciągnęła tego tematu, a ciebie coś powstrzymywało przed wypytywaniem, jakbyś spodziewała się, że nazwisko będzie brzmiało „Zawadowska”, że spadło na ciebie w dziedzictwie po córeczce, owej – żywej jak iskra i odważnej do samobójstwa prawie – Kai.

Więc nie pomoże piosenka ani mrużana, ani gwizdana, jak nie pomogła dziś przed południem...

Nie pomoże piosenka mrużana ani gwizdana:

mija pierwsza, druga... czwarta... Juta odgrzała sobie zalewajkę, słońce przewędrowało pod oknem i spelzło z zazdrostek, chowając się za stróżówkę – Juta przypomina sobie spotkanie tam przy studni, od niego zaczął się lęk i modlitewki, nie, Mały Bóg pojawił się od spóźnienia taty, od panny Karusi i teraz towarzyszy nieodstępnie, strach przenosi się z osoby na osobę, cały świat niedobrych ludzi i złowróźbnych rzeczy wszedł na miejsce Czarnej i jej wyrudziałego płaszczu. To widać kara za tamte obawy, za przezywanie, za obmawianie – ona nie przyjdzie nigdy, może wpadła w jakiejś melinie, a jeśli załatwiła te papiery z Dorianem, to i on wpadł, Boże, i Dorian!

Boi się ryczeć, żeby nie przywitać Czarnej Sąsiadki zapuchniętą twarzą, przyjmuje ten surowy styl, chce zasłużyć na sympatię nowych opiekunów, to znaczy Doriana... Kaja była dzielna... Może by tak raz jeszcze układy z Małym Bogiem: „Jeśli ona zaraz wróci, to ja już nigdy, nigdy nie będę miała nieskromnych myśli...”

– Pani! Pani otworzy, szukają tej małej od Zawadowskich, muszę im pokazać, co jej tu nie ma. Pani się nie boi, mówiłem: Polka, katoliczka. Pani, pani nie ma? Pani!

Stróż. Wali we drzwi, aż deski chodzą, rygiel klekocze.

Odszedł.

Wróci z tamtymi, wyważą drzwi, Boże mój, Boże, to jeszcze nie koniec, to nie może być koniec, ja chcę żyć, MUSZĘ! Pomóż mi, dobry Mały Boże!

A miała iść z tatusiem, miała go nie przeżyć, wcale o tym nie pamięta, miota się jak ryba wyrzucona z wody na blaszany stół, nieprzyzwoicie żywotna, zaskakująco silna, nagle szybka... Uciekać! Komórka! Komórka z ustępem, tam jest okienko! Włazi na prymitywną skrzynię drewnianego sedesu, okienko jest wysoko, co jej to przypomina? Już kiedyś to przeżywała? Albo chciała przeżyć?

Wbiła sobie mnóstwo mikroskopijnych drzazg, głupstwo, nie czuje nawet, przewinęła się przez niewielki otwór okienny, zeskoczyła na klapę śmietnika, gdyby nie pośpiech, poszłoby zapewne gorzej: nie potłukła się ani trochę lub o tym nie wie. Teraz nasłuchuje delikatnego świstu, czeka na uderzenie w plecy, w tył głowy i przez krótki moment dzielący ją od płotu jest rozkosznie wolna z tą możliwością zainkasowania kulki na otwartej przestrzeni, na powietrzu, w biegu – nie w ich mocy... Ale nikt jej nie zauważył; Juta dziwnie dobrze zna dalszą drogę – przez płot na dach drwalki Stępnów, bramą obok sklepu, ulicą Główną na przełaj; szkoda, że już nie ma Micewskich; do Milki też nie, naraziłaby ją, zresztą nie wiadomo co Milka sądzi o tej sprawie... Uliczki puste jak we śnie, teraz aleja brzoźowa, kozia dróżka, teraz pole Osuchowskich, strumyk, kanał, Ziemia – ach, jak mnie przyjmie Justyna?

Koniec:

ten piasek to śmierć.

Wiesz, dlaczego teraz, tu. Że spełnia się ostrzeżenie widziane we śnie, wyspy dzieciństwa mają niebezpieczne zakamarki, rozszczepienie na troje nie prowadzi do ocalenia. Jaka jesteś, jaką ciebie mam uratować? Po co? Dla obłudy Kazimierzy, mściwości Justyny, strachu Juty? Dla sumy, którą jestem ja, Bóg?

Co stanie się z tą sumą, jeśli rachunek sumienia wykazał ujemne saldo pod gilotyną czerwonej kreski?

Kiedy zmęczona ucieczką dopadła południowego krańca Ziemi...

...Czyjaś opalona ręka wysunęła się z krzaków czarnego bzu, przyzywała ponagłającymi ruchami.

Poznała: Jacek.

Na pewno wiedział o wczorajszym, cała Osada powtarzała sobie takie nowiny, jak wtedy o Arturze B., choć nie był tak znany, a przecież i ona, i ciotka, i ojciec uważani byli za swoich, zasiedziały, czystych – tym większy musiał być szok, kiedy tamci...

Więc Jacek śledził ją od samego prawie domu Sąsiadki, ta pusta ulica była pozorna; znalazł na cmentarzu ostatni list do Justyny, więc chciałby szantażować, wydać, co za uparta nienawiść! albo to po awanturze z tatusiem, albo zwyczajne szukanie zarobku. Wykreśliła się na pięcie, w tył zwrot, pomaszerowała prosto na barak Osuchowskiej, żeby wyglądało to na chęć odwiedzenia staruchy, on też chyba boi się tej wiedźmy. Wejść, zapytam o cokolwiek, już lepsza ta stara, bo o niczym nie wie, nie chodzi na Osadę, mogę ją nawet przeprosić za cmentarz, nie boję się.

Jest odważna, jest Kazimierą. Przemierzyła akacją alejkę i klomb tuż pod samą willą, pochylona przebyła zaporę rozwieszonych na sznurze kolorowych łachmanów – dziurawych wsypek, strzępów kołder; znalazła się nadspodziewanie blisko domu; zamarła.

Na ganku spał rozchelstany pijak, to był gruby żandarm, uśmiech opromieniał jego opasłą głowę. Z głębi domu wychodził właśnie inny, ze sporym kuflem – bimbru zapewne, bo nie było śladu piany – przy samych drzwiach wrzasnął „prooost” i wylał wódkę na byczy kark tamtego. „Willi Melina!” – Kazimiera zrozumiała w tej chwili: bimber w Osadzie był od Osuchowskich, dlatego ta niby pustka, a przecież wydeptane ścieżki i przesmyki, przyłazili tu wieczorami klienci; azyl, uroczy azyl dalekiej Ziemi.

Spojrzeli w jej stronę – usłyszeli, może spostrzegli? Szarpnęła się gwałtownie do tyłu poza linię wiszących gałęzi, dała nura w krzaki, za nią tupot ciężkich buciorów, krzyki żandar-mów, skrzek Osuchowskiej. Ta wiedźma ich poszczuła, musieli dojrzeć nogi Kazimierzy wystające przed chwilą spod kolorowych szmat, może gruby ją poznał mimo zamroczenia, może ten z kuflem zdołał przyjrzeć się jej tam przed gankiem? Biegła jak szalona, zdawało się jej, że cała Ziemia rozbrzmiewa galopem pogoni; zboczyła do suchego lasku. Wtedy zobaczyła.

Dom, którego nigdy tu nie widziała; nie dokończone podmurowanie, fundamenty ze snu: skąd się tu wzięły, to sprawdzenie się znaku, to już koniec.

Potknęła się o nie, upadła. Stłumiła okrzyk przerażenia. Ostatkiem sił podniosła się, nie pamięta o Jacku, dobiega do altany, do piaskowego leja po bombie. I tu...

Koniec.

– Idą po mnie.

Tylko to: idą po mnie.

I: piasek.

To nie tam wysoko w chmurach, to nisko w piaskowej zapadni jest księga rachunkowa, sumienie. Mały Bóg jeden dla trzech: ja, na koniec jedna i jedyna do zabicia albo przetrwania. Ja, suma strachu. Ja, nienawiść obronna. Ja, nieufność aż do zbrodni. Osaczona. Ale:

czy to usprawiedliwia?

Czy „sam sobie” oznacza MA?

Czy „zaszczuty” nie oznacza WINIEN?

Czy można wyjść nawet i z tego – kiedy znajdzie się oparcie? klucz? słowo snu?

– Tatuś!

Nie.

A może tak, może tak, jeśli będzie to pojmowała jako bezpieczeństwo, jako bycie sobą dla czyjejs miłości.

Dłoń ma jej głowie, dłoń zbawienna, głos niski, kojący.

– Juta.

Tatuś, ojciec, tak!

Ale wie, że to nie on.

Przytula się gwałtownie do pachnącej tytoniem ręki, to oznacza dom, to oznacza opiekę, ufność. Ufność.

– No nie! – śmieje się Dorian. – Dobrze już, dobrze, co się stało, dlaczego leżysz w piasku, zaziębisz się, wariatko.

Śmieje się jakby na wyrost, przestraszył go widać jej histeryczny gest. Chowa rękę za siebie, szorstki, powściągliwy – jaki niepodobny do tatusia, jaki zarazem podobny, wszystko co dobre przypominać jej będzie ojca, już na zawsze, przepadło.

– Chodź – mówi. – Trzeba iść do domu, późno.

– Ja nie mam domu – szepcze. – Przecież tatuś... Tatusia nie...

Słowa rozmazują się, jakby pisała je kiepskim atramentem w liście do siebie, teraz dopiero wybucha prawdziwy żal, nigdy – w żadnych obliczeniach – nie przypuszczała, że będzie tak ogromny. Zamiast ulgi, że odbyło się to za jej plecami, bez niej, w sposób jak najmniej dramatyczny! Masz, widzisz jak na dłoni swoje bezładne azyle, swoje Ziemie, chłodne rachuby! Jego nie ma, nie będzie: więc to aż tak boli, aż tak.

– No, już – powiada wreszcie Dorian, głosem jeszcze grubszym niż zazwyczaj. – Jazda, bo ktoś nas podpatrzy, głupia heca.

– Skąd pan wiedział?

– Jacek przyleciał: niech pan tam prędko idzie, bo ta pomyłona Juta... Po co włąziłaś do tego dołu?

– Ukrywałam się. Dorian zaczyna się śmiać.

– Bo może pan nie wie, kim jestem. On przecież wie, choćby od Czarnej Sąsiadki, ale Juta MUSI przedstawić całą prawdę, a jakże, tonem odpychającym, na wypadek gdyby on przyjął tę wiadomość niezbyt mile. Dorian przerywa niecierpliwie.

– Dobra, dobra, nie muszę wiedzieć. Albo też wiem wszystko, jak wolisz. No, rusz się, słońce zachodzi.

Wieczór łagodnieje, znad łąki wybuchają koniki polne, powietrze się krztusi zapachem siana, jest ŚWIAT. Uboższy o własnego Boga. Bogatszy o drugiego Człowieka.

On zamilknie, przysłonięty złoto malowanym obłokiem.

Ale może tam, w tej fałszywej dekoracji, prowadzi wasze obłudne rachunki. Żeby powrócić po latach na byle hasło, odbierać wiarę, podsuwać fortele i maski, przebrania i imiona, zwracać przeciw tobie świat, ciebie przeciw światu.

Taki Mały, na miarę krawca.

Taki powszechny.

Wszędzie tam, gdzie wielki odwet, pompatyczna nienawiść, szumna pamięć krzywd i urazów.

Gdzie maleńki, podlutki strach.

Strumiany, 1968